Po konfiskacie nakład drugi

Rok II. Lwów, 1. stycznia 1900. Nr. 1.

PROMIEŃ

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

PRENUMERATA WYNOSI

rocznie zlr. 1.60, z przesyłką 1.80; kwartalnie 40 ct.. z przesyłką 45 ct. — Numer pojedynczy 15 ct., na prowincyi 16 ct W zaborze pruskim i w Niemczech rocznie 3 marki 40 fen. — W zaborze rosyjskim 4 ruble. — W innych krajach należących do związku pocztowego, rocznie 4 franki 20 centimów.

Adres Redakcyi: Lwów, ul. Zygmuntowska l. 12 A. Filia Administracyi w Krakowie przy ul. św. Anny 3.

„Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały." *Krasiński.*

W imieniu jego cesarskiej mości!

C. k. Sąd krajowy karny dla spraw karnych orzekł na mocy §§. 489. i 493 p. k. i §. 37. u. pr., że treść artykułu umieszczonego w Nr. 11 i 12 czasopisma: „Promień" z dnia 1 grudnia 1899 pod napisem „Nasz bilans roczny" od słów „dla nas patryotyzm szczery" do „współbojowników i doradców" zawiera znamiona zbrodni z §. 65 a) i występku z §. 302 uk.; a treść artykułu pod napisem „Nieco o maturze" od słów „Nie można wiele rachować" do „współczesnych dążeń" zawiera znamiona występku z §. 300 uk. zatem usprawiedliwioną jest zarządzona przez c. k. Prokuratora rządowego konfiskata tego pisma. W skutek tej uchwały wzbronione jest dalsze rozpowszechnienie rzeczonych ustępów, a zabrany nakład ma być zniszczony.

Powody:

W inkryminowanym ustępie artykulu „Nasz bilans roczny" stara się autor pobudzić czytelników do wzgardy i nienawiści przeciw jednolitemu związkowi państwa a nadto do nieprzyjaźnego wystąpienia przeciw pojedynczym klasom społecznym, co stanowi znamiona zbrodni z §. 65 uk. występku z §. 302 uk., w ustępie zaś pod napisem „Nieco o maturze" usiluje autor lżeniem i wyszydzaniem poniżyć zarządzenia władz rządowych oraz przekręceniem istotnego stanu rzeczy pobudzić czytelników do wzgardy i nienawiści przeciw władzom rządowym ze względu na ich działalność urzędową, co stanowi znamiona występku z §. 300 uk.

Lwów dnia 9. grudnia 1899.

Zminkowski.

System jezuicki

w galicyjskich szkołach średnich.

Tyle razy skarżono się na wadliwy ustrój szkół średnich w Austryi; pisano o tem dziesiątki, setki artykułów, prawie we wszystkich czasopismach, które nie stoją na żołdzie funduszu gadzinowego; zewsząd wydawano ogólny wyrok potępienia na tę zacofaną organizacyę, nie wytrzymującą najłagodniejszej krytyki w porównaniu np. ze szkołami angielskiemi, zewsząd wołano o reformę I temu głosowi powszechnemu nie mogła się oprzeć nawet lojalna ankieta, zwracając się, choć żółwim krokiem, na drogę tak piekąco potrzebnej reorganizacyi.

Lecz zdawałoby się, że jeżeli zacofane paragrafy nie idą w parze z postępem, to może władza szkolna i grono profesorskie, ludzie, którzy się mienią naczelnikami oświaty w kraju, będą usiłowali wprowadzać wszelkie nowe a tak potrzebne ulepszenia; należałoby się po nich spodziewać, że się będą starali wywrzeć niejako presyę moralną na sfery decydujące, by uczyniły zadość wymaganiom czasu. Lecz od czegoż na tronie galicyjskiej oświaty zasiada p. Bobrzyński? Chyba

nie celem wprowadzenia korzystnych reform. Przypatrzmy się zresztą bliżej stosunkom szkolnym a zobaczymy, że objawia się w nich jedyna dążność: dążność do zasklepienia się w martwych, przeżytych formach, uświęconych tylko prawem tradycyi.

I „z pociechą“ konstatuje władza, że praktyka prześciga samą teoryę i jej paragrafy pod względem zacofania. Tłumienie wszelkiej samodzielnej myśli, hurtowne wtłaczanie mózgu w średniowieczne regułki to najkrótsza, ale zarazem najdobitniejsza charakterystyka wychowania gimnazyalnego. Przytem w tych szlachetnych dążeniach niema środka, któryby uznano za zły, byle tylko prowadził do celu.

Skonfiskowano

Skonfiskowano

Charakterystycznym jest naprzykład zwrot nie rzadko dający się z ich ust słyszeć: „Ty się u nas nie uchowasz! przypomnisz sobie zresztą me słowa, gdy padniesz przy maturze“. Śledzenie uczniów na każdym kroku w postępowaniu ich poza gimnazyum grasuje wprost w Galicyi, zwłaszcza na prowincyi. Odważają się nawet niektórzy z księży katechetów, czy profesorów, wchodzić do domu prywatnego, gdzie uczeń mieszka na stancyi, by zobaczyć, czy tam przypadkiem „wilgoci“ nie ma. Znaną jest w tym kierunku ogółowi „trójca uczonych“, z których pierwszy, były nauczyciel li-

teratury polskiej w jednem z gimnazyów lwowskich, pozuje na wielkiego nowelistę, drugi jest autorem psychologii (biedna ona, nie spodziewała się być tak torturowaną), trzeci znów, doskonale nam znany autor „Tajemnic żydowskich“ i redaktor „Jutrzenki“. I jeżeli (jak powszechnie wiadomo), w sprawach, tyczących się zachowania ucznia, grożących popsuciem noty z obyczajów lub wydaleniem, zwykle księża, profesorzy lub katecheci odgrywają jakąś niepoślednią rolę, to już bez tych trzech „gwiazd“ Galicyi klerykalnej żadne śledztwo, prowadzące do wykrycia przekonań ucznia, obejść się nie może. Przyrzekanie „że się ze sprawy nie zrobi użytku byle tylko od ucznia wyciągnąć przyznanie się do „winy“ albo jeszcze częściej wydanie „winnych“ (naturalnie przyrzeczenie się łamie), wzbudzanie nienawiści rasowych*) w celach szpiegowskich, oto szlachetne rzemiosło godnych następców średniowiecznej inkwizycyi. Inny z tej „trójcy“ wchodzi do klasy z powyciąganemi rękami, by go po nich uczniowie; całowali natomiast darzy swą niełaską a nawet prześladowaniem takiego, któremu się w głowie pomieścić nie może, że w ten sposób dostąpił by wielkiego zaszczytu. Trafiają się też katecheci**), co z wielkiem wewnętrznem zadowoleniem obsypują uczniów grubiańskiemi wyzwiskami, między któremi: „durniu“, „byku ze stajni“, „psie“ i t. p. należą do najlżejszych, i sądzą, że to wzbudzi dla nich uszanowanie i pokryje brak wykształcenia. W niektórych znów klasach przewódcy duchowni mają nawet swych donosicieli między uczniami, osłoniętych naturalnie zbawiennem skrzydłem protekcyi.

Cenzurze księży gimnazyalnych podlegają nietylko odczyty na wieczorkach mickiewiczowskich (bo gdzieżby się pozwoliło uczniowi wygłosić jakieś samodzielne zdanie), lecz także... dzieła Mickiewicza; w myśl tego wykreśla przemyski ks. katecheta słowo „hofraty“ z „Rady“ w „Panu Tadeuszu“, i ciska pioruny na prof. Kąsinowskiego, który śmiał wyrzec w zakończeniu wieczorku „bluźnierstwo“ (?), twierdząc, że Mickiewiczowi i Słowackiemu winniśmy cześć prawie boską; w myśl tego władza szkolna obcina w większej części gimnazyów niemiłosiernie „Dziady“ część III., wyrzucając z nich „Pieśń zemsty“ „Improwizacyę“, wiele słów Konrada i Jankowskiego w scenie pierwszej, nie pozwala na urządzanie wieczorków ku czci Słowackiego i granie buntowniczego „Kordyana“.

Najoczywistszym zresztą dowodem tego złego wpływu Jezuitów na wychowanie uczniów, jest chyba fakt powszechnie znany, że właśnie z Chyrowa, z pod ich błogosławionych opiekuńczych skrzydeł wychodzi młodzież najbardziej zdemoralizowana.

Ale jeszcze coś lepszego: Same paragrafy, zmierzające do systematycznego wykorzeniania w uczniach samodzielnych poglądów i myśli, nie ujętych w regułą gimnazyalną, czują respekt przed księżami; władza szkolna, czuwająca zresztą nad ścisłem ich wypełnieniem, uwalnia w takim razie winowajców od wszelkiej odpowiedzialności za przekroczenie ustaw, a nawet popiera ich łamanie. („Jutrzenka“ wydawana jest przez ucznia*), a subwencyonowana przez Radę szkolną krajową). Tak więc postępek, uznany przez władze za zły i karygodny, przestaje nim być i uzyskuje patent dobrego, jeżeli tylko w to wmiesza się jezuita.

Pod takimi wpływami wyrasta nasza młodzież. I jakkolwiek niema obawy, ażeby się przejęła zasadami głoszonemi przez tych szanownych wychowawców, bo aż nadto często uderzać ją musi brak wszelkiej etyki i sprzeczność w ich postępowaniu, — to jednak nawyka do tego jarzma, stara się stłumić w sobie wszelkie szlachetniejsze popędy i dążenia, by się tylko „nie narażać“, usiłuje zagasić w sobie ogień oburzenia na różne objawy niesprawiedliwości; a dopomagają jej w tem wszędzie starsi, „doświadczeńsi“ doradcy, mówiąc: „ej, siedź cicho, ucz się od nas

*) Jeden z nich podczas śledztwa, chcąc wydobyć zeznanie, powiedział do obwinionych: Widzicie, żydzi was zdradzili a wy nic nie chcecie powiedzieć. Gdy go jednak zapytano, co właściwie żydzi donieśli, nie wiedział, co odrzec.

**) n. p. w Rzeszowie ks. kanonik.

*) W innym wypadku wydalonoby natychmiast winnego.

być potulnym. bo inaczej przepadła twoja karyera“. Uczeń robi raz i drugi ustępstwo z przekonań, wchodzi w kompromisy z sumieniem, traci poczucie solidarności koleżeńskiej, staje się na wszystko zimnym, apatycznym, bez szlachetnych porywów i idei, szuka rozrywki w kartach a nawet w rozpuście, staje się wreszcie egoistą, karyerowiczem, mającym tylko jedno przekonanie: „Pójdę tam, gdzie mi będzie dobrze, gdzie najwięcej dostanę, a mniejsza o środki, mniejsza o wszystko, choćbym swe szczęście miał nawet na krzywdzie i cierpieniu ludzkiem budować“.

Czas by już był otrząsnąć raz ze siebie to błoto, co rzuca plamę na całe społeczeństwo nasze. Leży to w jego interesie, jeżeli chce wychować z młodych pokoleń dzielnych obywateli uciśnionej Ojczyzny, a w szczególności w interesie stanu nauczycielskiego, którego powaga jest mocno zachwiana, wskutek milczenia wobec krzyczących niesprawiedliwości, i przedewszystkiem w interesie młodzieży samej, jeżeli chce dowieść, że dba o coś więcej, jak tylko o zaspokojenie potrzeb cielesnych. Młodzież nasza w zaborze rosyjskim żyje w trudniejszych i gorszych od nas warunkach, a przecież jest lepsza; bierzmyż przynajmniej z niej przykład.

Stanisław Orczyk.

Z powodu powstania styczniowego.

Kiedy prawdziwie Polacy powstaną,
To składek zbierać nie będą narody,
Lecz ogłupieją i na pieśń strzelaną
Wytężą uszy, odemkną gospody.
I będą wieści z wichrami wchodziły,
A każda będzie serca ludów pasła,
Nieznajomemi święt poruszą siły
Na nieznajome jakieś, wielkie hasła...

Słowacki.

Najgłębiej może i najpiękniej określił znaczenie naszych ruchów rewolucyjnych Adam Asnyk, gdy, składając cześć Juliuszowi Słowackiemu, jako duchowemu poniekąd sprawcy powstania styczniowego,— przemawiał w te słowa:

»Gdyby nie głos natchniony narodowej lutni,
Który nie dał zmęczonym usypiać w letargu,
Czemżebyśmy dziś byli, my, nędzarze smutni?
— Gromadą niewolników na publicznym targu,
Narodem bez przyszłości, bez sławy, bez cześci,
Którym pan jego gardzi, chociaż czasem pieści...
Wprawdzie by nas żywiła szczodrzej polska gleba,
I plon nasz by nie poszedł na pastwę płomieni,
Wprawdzie byłoby lepiej tym zjadaczom chleba,
Którzy się tuczyć pragną, z losem pogodzeni,
— Lecz nad przyszłością naszą noc by zaszła głucha
I naród cały został bez serca i ducha...

Za to: że tak nie jest, za to że my dziś nie jesteśmy „gromadą niewolników“, lecz narodem, rozwijającym się w pełni sił swoich kulturalnych i duchowych, narodem ujarzmionym wprawdzie i spętanym — ale wielkim i potężnym — za tę bogatą puściznę duchową bohaterom i męczennikom naszych powstań należy się cześć i wdzięczność.

Nie możemy wszakże ograniczyć się złożeniem hołdu rewolucyonistom polskim, lecz w myśl tych słów Mickiewicza, że „każdy polak jest naturalnym republikaninem i rewolucyonistą“, musimy dalej prowadzić rozpoczętą przez nich walkę o niepodległość, — chcąc zaś niepodległość tę zdobyć, musimy przedewszystkiem postarać się zrozumieć przyczyny dotychczasowych niepowodzeń.

Dlaczego zostaliśmy pokonani?

Nie brakło nam przecież zapału ani chęci do walki -- dość wskazać bohaterską garstkę belwederczyków, którzy przykładem swoim całą armię polską porwali do boju przeciw najeźdzcy, — dość wskazać krwawe pola Grochowskie, Wawrskie, Stoczkowskie i inne, — całą bogatą martyrologię polską z okresu walki o niepodległość...

Nie brakło nam też sił do walki, bo przecież w tym samym czasie, kiedy Paskiewicz wandalską swoją stopę stawiał na sercu Polski, — trzydzieści kilka tysięcy polskiego wojska składało broń za pruską i austryacką granicą.

Co więc sprawiło, że powstania nasze zarówno z 1831 r. jak z 1863 r. zakończyły się porażką?

Przypomnijmy sobie słowa Ferdynanda Lassalla: „Wszystkie te ruchy, co się nie udały lub też upadły po chwilowem powodzeniu, a których upadek smutnem może napełnić zwątpieniem serce niejednego dobrze, aczkolwiek powierzchownie myślącego przyjaciela ludu, — wszystkie te ruchy nie powiodły się dlatego właśnie, że były jedynie rzekomo, a nie istotnie rewolucyjne.

Ruch rzetelnie rewolucyjny, ruch, oparty na niewątpliwie nowej zasadzie, nigdy jeszcze nie upadł, a przynajmniej nigdy jeszcze nie upadł na długo...“ *)

Postarajmy się zrozumieć logiczne przesłanki, z których wniosek ten jest wyprowadzony, i zastanówmy się nad tem, co to jest rewolucya.

Rewolucya, według określenia Lasalla, jest to zdobycie prawnego uznania, zapewnienie stopniowego i konsekwentnego rozwoju dla tych reform, które się już w realnych stosunkach społeczeństwa dokonały.

Przyjmując to określenie, zrozumiemy, że rewolucya, jako uznanie prawne faktu dokonanego, nie może się nie udać, może się co najwyżej nieco odwlec, zrozumiemy też wówczas, że nasze ruchy nie udały się właśnie dlatego, że nie były w zasadzie, w istocie swej rewolucyjnymi ruchami.

Wprawdzie nasze rewolucye nie dążyły specyalnie do zaprowadzenia jakich bądź reform społecznych, lecz jedynie do zrzucenia obcego jarzma, — miały więc one charakter raczej polityczny niż społeczny, ale historya i sama logika myślenia nas uczą, że każda rewolucya musi być prowadzona na tle społecznem, aby mogła zakończyć się zwycięstwem. Idea odzyskania niepodległości narodowej jest ideą tak wielką, że może porwać całkowicie jednostki inteligentne, może nawet w duszach ich wszelkie inne pragnienia i dążności usunąć na plan ostatni, ale nie może z równą siłą przeniknąć świadomości wielkich mas ludowych. Dopiero, kiedy ta idea polityczna zwiąże się nierozerwalnie ze wszystkiemi ekonomicznemi i kulturalnemi potrzebami ludu, wtedy dopiero rewolucya, dając zaspokojenie wszystkich tych potrzeb piekących, bliskich, — nabywa mocy żywiołowej, niepokonalnej.

Już Kościuszko w r. 1794, a po nim rządy rewolucyjne z r. 1846 i 1863, usiłowały przez ogłoszenie reform włościańskich pierwiastek ten wprowadzić do ruchu, — lecz były to kroki niedostateczne bo rewolucya jest właśnie tylko usankcyonowaniem prawnem faktów już dokonanych w świadomości i uczuciu warstw społecznych, a nie narzuceniem z góry reform nowych i nagłych w celu zjednania sobie mas ludowych, **bo rewolucya wychodzić musi z samych tych mas ludowych, w których interesie leżą dane reformy i które stanowią sam rdzeń społeczeństwa**.

Jako bojowniczka nowego ustroju społecznego, rewolucya musi wziąć sobie za hasło niepowstrzymany pęd naprzód, bez oglądania się na przeszłość. Nasze rewolucye jednak wzrok miały zawsze zwrócony w tył po za siebie, wiążąc sobie ręce dawnemi tradycyami, dawnemi przeżytemi już zasadami ustroju społecznego, strasząc się zmory demagogii i jakobinizmu, które są wszak tylko skrajną konsekwencyą rozwiniętej siły rewolucyjnej.

Nasze więc rewolucye były jak człowiek, który idąc naprzód, głowę w tył obraca i patrzy, czy mu z tyłu jakie niebezpieczeństwo nie grozi. Cóż dziwnego, że taki człowiek potyka się i pada.

Prawdziwą w Lasallowskiem znaczeniu rewolucyą była wielka rewolucya francuska z końca 18 wieku. Bogaty, liczny i pod względem umysłowym stojący na czele społeczeństwa stan trzeci, był faktycznie już bardzo potężnym, — pod względem prawnym wszakże był bardzo upośledzony. Rozpoczął więc walkę emancypacyjną o prawa sobie należne, a gdy koalicye europejskie wystąpiły przeciw tej walce jako naruszającej zasady dawnego ustroju, sprzężenie się interesów politycznych, społecznych i ideowych nadało ruchowi rewolucyjnemu francuskiemu taką niepożytą żywiołową siłę, że przemódz jej nie zdołały ani kontrrewolucya wewnątrz kraju, ani obce najazdy. Rewolucyjna Francya tryumfowała i zaprowadziła u siebie nowy porządek społeczny, dając zarazem hasło do prędszego czy późniejszego zaprowadzenia takiegoż ustroju w innych krajach Europy.

Od tego czasu upłynęło lat 100 z górą. Wielkie rzeczy, dokonane przez rewolucyę francuską, już dziś się przeżywają. Ustrój

*) Twierdzenie swoje Lasalle popiera przykładami historycznymi, dowodząc, że niemiecka wojna chłopska np. upadła dlatego, że nie opierała się na żadnej nowej zasadzie, a więc w istocie swej była ruchem raczej reakcyjnym, niż rewolucyjnym.

burżuazyjny, którego sankcyą była rewolucya francuska, próchnieje w swych fundamentach, — na czoło ludzkości wysuwa się coraz bardziej klasa robotnicza, która faktycznie posiada już ogromne ekonomiczne i polityczne znaczenie, prawnie jednak jest jeszcze prawie niczem. Szermierze postępu i sprawiedliwości z utęsknieniem spoglądają w przyszłość, wyglądając jutrzenki lepszej doli, oczekując rewolucyi, któraby nadała sankcyę tej przemianie w ustosunkowaniu się sił społecznych, jaka się już dziś w naszych oczach odbywa.

Zjawia się teraz kwestya, jaki naród dzisiaj podejmie się, podjąć się może tego zadania, by, jak ongi Francya, poprowadzić ludy Europy do nowej — większej jeszcze od tamtej — rewolucyi?

Skonfiskowano

Skonfiskowano

Skonfiskowano

III. Literatura ukraińska

od r. 1798 aż do naszych czasów.

I. Literatura ukraińska (prócz dramatycznej).

(Dokończenie).

Z początkiem siódmego dziesięciolecia literatura ukraińska dochodzi do jeszcze większego rozkwitu. Poważne koło beletrystów i kilku uczonych Kulisz gromadzi około czasopisma „Osnowa“ (1861—1863), które staje się głównym organem piśmiennictwa ukraińskiego. Na siódme dziesięciolecie przypada środek pierwszej fazy działalności literackiej Leonida Hlibowa (1827—1896), który drugi raz wraca na arenę literacką pod koniec dziewiątego dziesięciolecia.

Teraz Stefan Rudańskyj (umarł 1873 r.) drukuje swe (napisane w szóstem dziesięcioleciu) utwory, błyszcząc w opowiadaniach poetycznych humorem ludowym, zostawiając nam w pieśniach kilka pereł liryki.

W tym czasie zjawia się poważne koło powieściopisarzy.

Danyło Mordoweć (ur. 1830 r.) pisze swe opowiadania ludowe, odznaczające się serdecznością podobną do liryki Hlibowa. Treść ich nieuchwytna, przelewająca się w elegijnych tonach, jak melodya muzyczna.

Hanna Barwinok-Kuliszowa (ur. 1828 r.) podaje nam szereg cennych szkiców, przypominających manierę Marka Wowczka, z większą przewagą żywiołu etnograficznego.

Ołeksa Storożenko (1805—1874) ogłasza swe opowiadania, skrzące się humorem ludowym, dowcipem i bystrą obserwacyą. Maniera jego opowiadań fantastyczno humorystycznych przypomina Kwitkę, gdzieniegdzie Gogola. Romans jego „Marko proklatyj“ — poemat w prozie, ogłoszony w ósmem dziesięcioleciu — daje nam pyszne obrazy natury ukraińskiej i ludowej fantastyki, wprowadza szereg efektownych scen życiowych i starć psychologicznych. Poematowi temu brakuje łączności artystycznej, tło zaś dziejowe obmyślane słabo.

U literatów siódmego dziesięciolecia dużo jeszcze materyału etnograficznego, rozrastającego się często na szkodę układu artystycznego. Tak w poezyi, jak i w prozie dużo jeszcze przykładów romantycznej fantastyki ludowej, w wierszach widać historyczą miłość kozactwa. Lecz obok tych elementów, charakteryzujących poprzednią fazę piśmiennictwa ukraińskiego. widać już prąd nowy, wniesiony nowymi warunkami życia narodowego.

Po zniesieniu pańszczyzny pokazały się nowe wady ustroju społecznego, nowe rany na organizmie narodowym. Otóż życie wnosi i do piśmiennictwa nowe zagadnienia; beletryści siódmego dziesięciolecia przedstawiają przeważnie okres przejściowy między pańszczyzną a wolnością tudzież pierwsze fazy nowego ustroju. Znakomita kronika Anatola Swydnyćkiego (1834—1871) pt. „Luboradśki“, napisana w początku siódmego dziesięciolecia, wprowadzając do beletrystyki życie inteligencyi ukraińskiej, wybiega już obok pierwszych

powiadań Neczuja-Lewyćkiego i Konyśkiego w dalszą fazę literatury ukraińskiej w ósmem dziesięcioleciu.

Skrzętną pracę literacką siódmego dziesięciolecia przerywają nowe prześladowania ze strony rządu moskiewskiego. Rujnują one też początki organizacyi oświaty ludowej na Ukrainie właśnie wtedy, kiedy po zniesieniu pańszczyzny wszyscy poczęli głośno mówić o jej naglącej potrzebie.

W r. 1863 zniesiono szkoły niedzielne, wypędzono raz na zawsze język ukraiński ze szkół ludowych. Następuje zastój w piśmiennictwie. Głuchy czas ten przerywa na początku ósmego dziesięciolecia otwarcie południowo-zachodniego oddziału stowarzyszenia geograficzno-etnograficznego, co miało też na beletrystykę wpływ ożywczy, — lecz nie na długo.

W r. 1876 spada na literaturę ukraińską najcięższy cios, zjawia się bezprzykładny, jedyny w historyi cywilizacyi ludzkiej ukaz, zabraniający drukowania w Rosyi utworów, napisanych w języku ukraińskim. Ukaz ten nałożył najcięższe kajdany na myśl ukraińską. Literaci zmuszeni byli drukować swe utwory w wydawnictwach galicyjskich lub innych zagranicznych. Niektórzy z literatów ukraińskich, nie mogąc przenieść niesłychanego ucisku, porzucają Ukrainę raz na zawsze. Do takich należał Mychajło Dragomanow (1841 - 1895). Swemi pracami historycznemi, folklorystycznemi i publicystyczno-politycznemi, pisanemi w wielu językach, zaznajamia on Europę z Ukrainą, a Ukrainę z Europą, wpływając w wysokim stopniu na życie literackie całej Ukrainy. Niesłychany ucisk nie zabił duszy narodu. Jako protest żywego organizmu przeciw wyrokowi śmierci, pojawiły się nowe talenty, rozszerzające w ósmem i dziewiątem dziesięcioleciu znacznie zakres beletrystyki ukraińskiej, pogłębiające zapatrywania na życie narodowe. Tutaj należy przedewszystkiem działalność literacka Łewyćkiego-Neczuja, Myrnego, a w wielkiej części też Konyśkiego i Szczoholewa.

Iwan Łewyćkyj-Neczuj (ur. 1838) przedstawia nam wszechstronny obraz życia narodwego. Od elegijnych wspomnień historycznych przechodzi on do współczesnej niewoli narodu swego, do ucisku politycznego i ekonomicznego. Myśl jego i wyobraźnia nie zatrzymuje się na jednej warstwie narodu, na jednej kategoryi typów. On prowadzi nas i do chaty wiejskiej, i na bujne stepy pomiędzy włóczęgów-najemników, i w fabryki atmosferę zatrutą, i pomiędzy bursaków, i do domu staroświeckiego popa, i do gabinetu uczonego profesora.

We wszystkich jego utworach widać duszę poety-artysty. Dusza ta wrażliwa tak na pyszną piękność przyrody ukraińskiej, jak i na uczucia nieszczęśliwego człowieka: z równym talentem Lewyćkyj przedstawia typy tragiczne i humorystyczne; humor zaś jego, miejscami niezrównany, może iść o lepsze z humorem Kwitki, Storożenki, albo nawet Gogola. Wskutek tych swych przymiotów Łewyćkyj stał się ojciem powieści społeczno-obyczajowej w piśmiennictwie ukraińskiem.

Na tem samem, co Łewyćkyj, polu pracował też nie mało Ołeksander Konyśkyj (ur. 1836 r.). Powieści jego z życia ludu wnoszą dużo nowego do beletrystyki ukraińskiej i mają nie małą wartość literacką. Za to w powieściach z życia inteligencyi więcej jest publicystyki, niż beletrystyki. Tendencya autora polega więcej na jakiejś konserwatywnej lękliwości przed odgłosami myśli europejskiej i ruchu społecznego, niż na dokładnie określonych ideałach.

Tendencyjne zabarwienie w postępowym kierunku mają niektóre opowiadania Ołeny Pczilki (Olgi Kosaczowej ur. 1852 r. Znalazły w nich odgłos nowe dążenia niewiast ukraińskich, żądania szerszej działalności społecznej i szerszej oświaty.

W ósmem i dziewiątem dziesięcioleciu zjawiają się powieści Panasa Myrnego, zdobywając sobie jako utwory artystyczno-literackie ogólne uznanie.

Treść ich buntownicza, rewolucyjna. Bunt zdrowej duszy ludzkiej przeciw zapowietrzonej atmosferze caratu; bunt w imię świeżych popędów młodocianych: bunt przeciw pogoni za korzyścią, okupioną łzami ludzkiemi, przeciw handlowaniu duszami ludzkiemi, przeciw naigrawaniu i znęcaniu się bogaczy i zdemoralizowanych urzędników nad nędzarzami bez-

bronnymi; bunt gorącego, porywczego serca wieśniaczego, wrażliwego na ludzką krzywdę, przeciwko ustrojowi społecznemu znalazł znakomitego wyraziciela w osobie P. Myrnego.

Widzimy u niego świadomy cel w wyborze faktów i typów, jednakowoż fakty same są żywe, realne do najmniejszych szczegółów. Język Myrnego czysty jak kryształ i niezrównanie poetyczny. Dotychczas Myrnyj jest pierwszym powieściopisarzem ukraińskim.

Taką samą różnorodność w wyborze tematów ze wszystkich zakresów życia ukraińskiego, jaką widzimy w beletrystyce ukraińskiej, począwszy od ósmego dziesięciolecia, napotykamy też w powieściach młodszego pokolenia, między innymi u Borysa Hrinczenki, Wołodomyra Łewenki, Mychajła Kociubyńskiego i Musija Szkołyczenki. Żywe serce autorów, wrażliwe na niedolę ludzką, kochające lud, odbija się w ich małych opowiadaniach, jak słońce w kroplach rosy.

Z najmłodszych literatów ukraińskich na wzmiankę zasługują Hnat Chotkiewycz i Natałka Połtawka.

Ostatnie dwa-trzy dziesięciolecia w historyi piśmiennictwa ukraińskiego, stanowią okres rozwoju powieści i dramatu; poezya liryczna i epiczna nie była w stanie podnieść się do wysokości, na jaką wzniósł ją Szewczenko. Lecz i to pole nie leży odłogiem. Starzy śpiewacy: Hlibow, Kulisz, Konyśkyj dośpiewują pieśń swoją.

Z ostatnimi dźwiękami melodyi starych pieśniarzy coraz śmielej i głośniej brzmi pieśń młodej gromady. Ostrzem satyry i błyskawicą zapału mignąwszy zazamikł Wołodymyr Samijlenko. Rozniosły się po Ukrainie poważne, ponure pieśni Hrinczenki.

Siła, torująca drogę do serc ludzkich, odwaga i energia znalazła się w lirycznych i epicznych wierszach chorej dziewczyny Laryssy Kosaczównej, podpisującej się pseudonimem Lesia Ukrainka, którą uważają za pierwszorzędny talent poetycki na Ukrainie: siłę uczucia widzimy w niektórych żałobnych, smutnych śpiewach Pawła Hrabowśkiego (Hraba), który więziony, na dalekiej północy przemawia do rodaków swych niejako żywcem pogrzebany, rzypominając im, że są jeszcze na Ukrainie męczennicy za myśl wolną, że Ukraina w niewoli, że silne i ciężkie jej kajdany.

* * *

Przyjrzyjmy się jeszcze najważniejszym momentom rozwoju literatury ukraińskiej w Galicyi. Ukraina galicyjska, oderwana od federacyi księstw ruskich jeszcze w XIV. wieku, przechodzi pod koniec wieku XVIII. z pod panowania polskiego pod Austryę w stanie zupełnego zaniedbania, tak społecznego jak i duchowego.

Pierwszy jaśniejszy promyk na pochmurnem niebie stanowi działalność kółka młodych entuzyastów, których duszą był Markijan Szaszkiewycz (1811—1843). Pod wpływem odrodzenia literacko-narodowego innych narodów słowiańskich, pod bezpośrednim impulsem znanych mu utworów literatury ukraińskiej w zab. ros. stawia on sobie jako cel życia rozbudzenie ducha narodowego w Ukrainie galicyjskiej, odrodzenie i ożywienie piśmiennictwa ukraińskiego w Galicyi.

Wśród ogólnego rozbudzenia życia politycznego w 1848 r. towarzysze i stronnicy M. Szaszkiewycza odnawiają ideały jego, podejmują sztandar odrębności narodowej narodu ukraińskiego; nie wszyscy jednak pracowali długo pod tym sztandarem, a co gorsze, nie wszyscy zostali mu wierni. Zwątpiwszy o żywotności i przyszłości narodu ukraińskiego i jego piśmiennictwa, niektórzy porzucili pracę nad rozwojem jego, a przyjęli literaturą rosyjską za swoją. Wyrzekli się języka narodowego, obcego, moskiewskiego się nie nauczyli i piszą martwą mieszaniną, złożoną z języków ukraińskiego, rosyjskiego i starosławiańskiego. Atoli latorośl owa piśmiennictwa ukraińskiego w Galicyi z każdem dniem usycha, jak gałąź odcięta od żywego pnia rodzinnego.

Żywszy ruch literacki w Ukrainie galicyjskiej nastał w siódmym ~~stuleciu~~ naszego wieku, kiedy doszły tu utwory z za kordonu, osobliwie kiedy rozpowszechniły się i zyskały popularność poezye Szewczenki. Wywołały one wśród kółka młodszych Ukraińców galicyjskich entuzyazm

niesłychany, dając początek całemu szeregowi czasopism i utworów. Ukrainofilstwo było z początku powierzchowne. Marzono o żupanach kozackich i buławach hetmańskich, pędzono wraz z kozakami „na konikach wronych po stepie szerokim“, ślepo naśladowano Szewczenkę, nie mając jego talentu.

Później literatura ukrainofilska stała się poważniejszą, przyczyniła się do pogłębienia świadomości narodowej. stanęła odrazu na gruncie demokratycznym i propagowała ideę praktycznej działalności dla dobra mas ludowych.

W dążeniach i ideałach pierwszych ukrainofilów ma swe korzenie działalność literacka późniejszych ich epigonów z ósmego i dziewiątego dziesięciolecia. Wołodymyr Barwińśkyj (1850—1883), zdolny publicysta, daje nam poważniejsze próby powieści z życia ukraińskiej inteligencyi w Galicyi. W patryotyczną strunę uderza energicznie Kornyło Ustyjanowycz (ur. 1839 r.), który w poezyi epicznej i dramatycznej wraca też do wspomnień historycznych, do okresu książąt. Wielką ilość wierszy różnych tworzy Wołodymyr Maślak (ur. 1858 r.).

Najwybitniejszy talent, występujący w siódmem i ósmem dziesięcioleciu w publikacyach ukraińskich, Juryj Fed'kowycz (1834—1888) był Ukraińcem bukowińskim, wieśniakiem z pochodzenia. Talent jego poetycki rozwija się pod wpływem literatury, powstałej w zab. ros.; działalność zaś jego literacka największego nabiera rozgłosu w Galicyi. Nie obejmuje on szerokich horyzontów społecznych i polityczno-narodowych, jak Szewczenko. Przedmiotem jego utworów jest węższy świat wrażeń osobistych i życia, cierpień, uciech i ideałów ludu, z którego wyszedł, jego Huculszczyzny rodzinnej, lecz w świecie tym jest on panem zupełnym, mistrzem treści i formy.

Równocześnie prawie rozwija szeroką działalność literacką drugi Ukrainiec bukowiński, Izydor Worobkiewycz (pseud. Danyło Młaka, ur. 1836 r.).

Lecz ani w utworach Fed'kowycza, ani tem bardziej w utworach współczesnych mu beletrystów, słabszych od niego, nie mogła Ukraina galicyjska znaleźć jasnych myśli przewodnich, szerszych ideałów społecznych i polityczno-narodowych. Nowe warunki życia i nowe kwestye społeczno-polityczne i literackie potrzebowały oświetlenia nie specyalnie galicyjskiego, lecz szerszego, wszechukraińskiego i europejskiego. Nowy prąd myśli europejskiej, nowy ferment wnosi do społeczeństwa ukraińskiego w Galicyi M. Dragomanow, o którym już wspominaliśmy.

Najwybitniejszym przedstawicielem grupy beletrystów, wychowanych przez Dragomanowa, a zarazem największym pomiędzy współczesnymi literatami ukraińskimi jest dr. Iwan Franko (ur. 1856 r.).

Co do różnorodności twórczości literackiej można go porównać chyba z Kuliszem. Niema gałęzi piśmiennictwa ukraińskiego, gdzieby Franko nie pracował. Spotrzegamy u niego ciekawy objaw, bardzo rzadki nawet u najwybitniejszych literatów europejskich: chłodny sceptycyzm naukowy i pociąg do publicystyki nie zabił w nim beletrysty. Z powieściowych i poetycznych utworów Franki wieje świeżość, energia i siła. Utwory jego przenika myśl społeczno-polityczna.

Franko położył też zasługi na polu publicystyki i nauk społecznych. Na tem polu pracują obok niego Mychajło Pawłyk, dr. Ostap Terlećkyj.

Obok Franki, po części pod jego wpływem wyrasta poważna grupa młodszych literatów. Zdolna poetka Julia Schneider, wybitna publicystka i literatka Natalia Kobryńska, powieściopisarze: Osyp Makowej, dr. Andrij Czajkowśkyj, Stefan Kowaliw, Tymotej Bordulak, dr. Jarosław Okunewśkyj, i najmłodsi beletryści: Wasyl Stefanyk, Ołeksa Martowycz, Bohdan Łepkyj, Sylwester Jaryczewśkyj, Denys Łukijanowycz, Mychajło Jackiw, Orest Awdykowycz, Antin Kruszelnyćkyj i inni ożywiają spółczesny ruch literacki Ukrainy galicyjskiej, którego środowiskiem staje się miesięcznik „Literaturno-Naukowyj Wistnyk“.

Niezależnie od Franki podnosi się na Ukrainie bukowińskiej wybitna literatka Olga Kobylańska (ur. 1865 r.). Psychologiczna analiza najdrobniejszych odcieni uczuć serca niewieściego dochodzi u niej do zenitu. Niewysłowiona delika-

tność uczucia poetki połączona u niej z taką wrażliwością na piękno natury, jaką spostrzegamy tylko u malarzy plenerystów. Treść jej utworów stanowi życie inteligentnej niewiasty, pragnienie życia, swobody, światła... Kobylańska jest obok Franki najwybitniejszym talentem beletrystycznym Ukrainy austryackiej.

2. Charakterystyka literatury ukraińskiej po 1798 r.

Do najgłówniejszych przymiotów literatury ukraińskiej należy realizm, nacyonalizm i demokratyzm. Literatura ukraińska już w samych początkach naszego stulecia wykazuje wielki pociąg do realizmu. Realizm w przedstawianiu życia ludu ma w niej stanowczą przewagę nad wszystkimi innymi kierunkami. Kierunek romantyczny nie doszedł w literaturze ukraińskiej do tego stopnia, co w literaturach Europy zachodniej, lecz występuje sporadycznie w pojedynczych utworach literatów ukraińskich, nawet u realistów, i to przez daleko dłuższy okres czasu, niż u innych narodów.

Literatura ukraińska jest na wskróś narodowa. Miłość ojczyzny i narodu jest jedną z najgłówniejszych strun, dźwięczących w niej przez całe stulecie.

Literatura ukraińska jest ludowa i demokratyczna. Wobec tego, że naród ukraiński niema prawie warstw wyższych i średnich, gdyż szlachta i wielka część inteligencyi ukraińskiej przeszła albo na stronę Polaków albo Moskali, najwięcej uwagi literaci ukraińscy zwracali na życie ludu. W miarę wytwarzania się inteligencyi ukraińskiej znajdowała i ona miejsce w literaturze, atoli na tem polu nie wniosła beletrystyka ukraińska prawie nic nowego do światowej skarbnicy literackiej.

Za to, co się tyczy piśmiennictwa ludowego i utworów beletrystycznych, wziętych z życia ludu wiejskiego, literatura ukraińska zajmuje pierwszorzędne miejsce nie tylko co do ilości, lecz także co do jakości i czasu. Takich utworów, jak Kwitki „Serdeczna Oksana“ albo „Marusia“, które wyszły w połowie czwartego dziesięciolecia, nie było jeszcze podówczas w literaturze europejskiej, a nie wiele jest ich dotychczas.

Literatura ukraińska wydała w przeciągu XIX. wieku cały szereg powieści dramatów i poezyi, wziętych z życia mas ludowych, odznaczających się tak realizmem treści, jakoteż artystycznem wykończeniem. Jeśliby literatura ukraińska nie miała innych imion oprócz Kwitki, Szewczenki, Lewyćkiego, Myrnego, Fed'kowycza i Franki, to stałaby na polu literatury ludowej jeszcze wyżej od wielu literatur europejskich. Dla większości utworów tak poezyi, jak i prozy ukraińskiej charakterystyczne też to, że one co do języka, stylu i techniki poetyckiej tak są zbliżone do poezyi ludowej, jak żadne inne w literaturach europejskich. Wskutek tego piśmiennictwo ukraińskie jest o wiele przystępniejsze dla szerokich mas ludowych, niż piśmiennictwo innego narodu.

Z GÓR.

(Sonet).

Między ziemią a niebem stoję w mgieł pomroce;
Podemną dzikie skały, a u skał krawędzi
Ciche, ciemne jeziora, na nich sznur łabędzi
Jak srebrna wstęga śniegu faluje, migoce.

Wyżej gaj. Słyszę z góry, jak słowik szczebioce.
Przy gaju łąka, prasterz trzodę ku niej pędzi.
Wiatr przynosi piosenki echo, którą gędzi,
Nad łąką orzeł skrzydły dumnemi trzepoce.

Z pod strzechy wyszedł góral z ubogim tłumokiem,
Góry, gaje, jeziora smutnym obwiódł wzrokiem
I za chlebem w obczyznę ciężkim ruszył krokiem...

A mnie, gdy tak czar świata podziwiam w zachwycie,
Z olśnionych oczu łzy się polały obficie,
Że na tak słodkiej ziemi takie gorzkie życie!

M. H. S.

Pierwiastek narodowy i społeczny
w poezyach Konopnickiej.

I.

Charakterystyczną cechą literatury polskiej jest to, że ona łączy się ściśle z dziejami politycznemi narodu, że jest

wiernem odbiciem tych wszystkich przejść i zdarzeń, jakie naród polski przechodził jako państwo i społeczeństwo. Zwłaszcza tyczy się to epoki porozbiorowej piśmiennictwa naszego tak, że, nie znając nawet historyi tej epoki, możnaby ją poznać z literatury.

Poeta, pisarz, czy malarz, im bardziej odczuwał i przejmował się tem, co było radością lub cierpieniem ogółu, tem więcej zyskiwał sympatyi w sercach czytających. I dlatego Mickiewicz, który jest wzorem i ideałem wieszcza narodowego, żyje dzisiaj w sercach milionów, ponieważ najgoręcej kochał i najżywiej czuł.

Podobnie i w malarstwie polskiem Grottger był tylko genialnym rysownikiem. Ale na swoich kartonach tak głęboko odczuł i przedstawił cierpienia i krzywdę narodu, że stał się nieśmiertelnym.

Ten charakter zatrzymała literatura nasza aż do najnowszych czasów i dzisiaj bardziej może, niż kiedykolwiek, poeci i pisarze polscy są natchnionym wyrazem tego, co boli cały naród. I może tylko zmieniły się nieco cierpienia a raczej pomnożyły... Istota rzeczy została ta sama.

Wprawdzie nie wszyscy chcą i nie wszyscy są zdolni dźwigać taki ciężar na swoich barkach, ale ci liczą się do wyjątków — większość oddycha i cierpi „cierpieniem milionów“.

Do nich należy Marya Konopnicka.

* * *

Czytając poezye Konopnickiej, doznaje się przedewszystkiem jednego uczucia, że jest to bardzo gorące, bardzo kochające serce. Jak złota nić, wije się przez wszystkie jej utwory prawdziwa, wielka miłość dla kraju, przywiązanie do rodzinnej ojczystej, ziemi. Czuć ją w każdym wierszyku, w każdem słowie, przebija się ona w smutku i w radości, w tęsknocie i zwątpieniu A z ludzi i stosunków przenosi ją poetka na lasy i pola, na zagony i rzeki i na całą naturę żywą i martwą Polski. Spieszy z nią nad strumyki i słucha ich łagodnego szmeru, to znowu nawiedza tajemne bory i rozkoszuje się ich uroczystą ciszą, lub wita wesoło promienie wschodzącego słońca, gdy w dzień pogodny wstaje nad rodzinną wioską. Nie omija ani zapadłych chat wieśniaczych, ani cichych ustroni, ani gwarnej pracy na roli.

Subtelność jej kobiecej natury pozwala jej odczuć najgłębiej utajony ból, dojrzeć najmniejszę łezkę.

To jedna cecha poezyi Konopnickiej. Drugą ma wspólną z wszystkimi współpracownikami swego zawodu w zaborze rosyjskim. Jestto ów obrazowy sposób pisania, pełen przenośni i alegoryi, niedopowiedzianych słów i urwanych myśli, który jest wytworem specyalnym nieznośnych warunków cenzuralnych.

Otwarcie czuć, szczerze pisać nie można; nie pisać wcale o tem, co boli — ciężko. Jeżeli więc chce się choć w części podzielić myślami z ogółem, musi się pisać tak, by choć wszystkiego nie powiedzieć, być zrozumianym. A w poezyi jeszcze łatwiej o to, niż w publicystyce lub wogóle w prozie. Między mózgiem czytającego a treścią czytanej rzeczy wytwarza się jakaś jakby pośrednia sfera myśli, uczuć i kojarzących się pojęć, składających się razem na uzupełnienie tego, co pominięto na papierze. Rozumieją to wszyscy, którzy zmuszeni są płody swej myśli poddawać carskiej kontroli. Rozumie to także Konopnicka, bo jak sama mówi o sobie, „ona też rodem z wielkiego cmentarza... I z krwawej roli...“ Nieraz też w swoich poezyach wspomina, „że nie może mówić jakby chciała“, ale jest pewna, że kto chce ją zrozumieć, ten pozna: „jak jej pióra z ramion rosną do górnych polotów“. Dalej zaś tak powiada:

„Mówię dziś do was zamkniętych ust ciszą
I czołem w brzaski zwróconem do słońca,
I wiem to, że mnie te serca usłyszą,
Które nawykły samotnem swem biciem,
Gadać z tęsknotą, z nadzieją i z życiem...“

A to życie pragnie poetka widzieć u wszystkich. Chciałaby je wlać, włożyć gdyby można w piersi każdemu ażeby tętniło wszędzie całą pełnią sił swoich, całym ogniem młodzieńczych porywów.

Bez zapału, bez umiłowania wielkich celów, nie ma treści życia. Ukochanie jakiejś wielkiej idei jest ożywczym strumieniem każdej pracy, każdego trudu i pozwala zapomnieć o ostrych kamieniach i brudnem błocie, po których stąpać trzeba. Nie zastąpią jej bogactwa, ani wielkie imię, ani zaszczyty, ani nawet potęga wiedzy. Przyjdzie nakoniec przesyt, a potem pustka i rozpacz. Myśli te wyraziła poetka w następującym bardzo ładnym wierszu:

„A choćbyście wrośli w ziemi
Siłami wszystkiemi,
Choćby wszystkich dżdżów obłoki
Poszły wam na soki,

— Nie wzniesiecie w górę czoła
Gdy wiosna zawoła,
Nie wydacie duchem kwiatu,
Ni sobie, ni światu
— Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału!

A choćbyście przeszli morza
Błękitne przestworza,
Choćby góry całej ziemi
Z skarbami wszystkiemi,

— Powrócicie jak żebracy,
Z waszych dróg i pracy,
Załamiecie próżne ręce
W strasznej głodu męce.
— Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału!

I choćbyście wyszli w pole
Z piorunem na czele,
Choćby z stali byli męże,
A z gromów oręże,

— Pójdą w jeństwo wasze roty,
Popod cudze płoty,
Wasze boje będą klęską,
Wasza śmierć niemęzką.
— Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału!

I choćby wam trąby grały,
Nowych dni hejnały,
Choćby cały świat z mogiły
Wstawał pełen siły,

Wy się z trupich waszych pleśni
Nie dźwigniecie w pieśni
I w zmartwychwstań wielkiej dobie
Zostaniecie w grobie.
— Bez miłości, bez zapału,
Bez czci ideału!“

Przytoczyliśmy ten wiersz w całości, gdyż jego myśl stanowi ideę przewodnią znacznej części poezyi Konopnickiej.

Oczywiście, że kto tak doniosłe znaczenie i tak stanowczy wpływ w życiu przypisuje uczuciu, ten musi potępiać, gardzić i nienawidzieć to wszystko, co tego uczucia nie ma, co czołga się w dusznej atmosferze nizkich pragnień i nie jest zdolne wznieść się w krainę ideału. To też ostre słowa potępienia dostają się wszelkiego rodzaju filistrom i ospalcom a niedołęztwo i bierne poddanie się losowi uważa poetka za niegodne człowieka. Ludzie tacy nietylko, że sami niczego nie dokażą, ale zginą, nim lepsze jutro zaświeci:

„O wy co cierpieć umiecie w pokorze,
Wy, co nosicie krzywd waszych łańcuchy,
Jako wrośniętą w kark krwawą obrożę!
Słabe, poddania pełne, bierne duchy,
Wy, co chowacie swój ból oswojony,
Jako gadzinę, gdy wyrwą jej jady...
Co się zwyciężać dajecie bez boju,
Gotowi zrzec się dziedzictwa światłości,
Byle was tylko z gnuśnego spokoju
Nie wyrwał okrzyk przyszłości —
Wy, co nie macie dość serca i mocy,
Hańbę zwać hańbą, a nędzę zwać nędzą,
Wy, których losy biczują i pędzą,
Po starych przepaściach nocy —
Was przyszłość minie a jutra świt błogi
W szereg żyjących nie wliczy!
Wielkością czynu, nie martwą pokorą,
Dzieje ludzkości są płodne!“

Naród polski z usposobienia jest skłonny do zbytniej uczuciowości, która często graniczy z chorobliwym sentymentalizmem.

Takiego spaczenia uczuć wyższych Konopnicka jest także wrogiem. Jako natura rewolucyjna wierzy, że tylko czyn i energia zdobyć coś mogą i dlatego trzeba nam:

„Piorunowych drgnień i blasków, gorejących puszcz zapału,
Kiedy wśród iskier walą się i trzasków,
I w samo serce trzeba nam postrzału,
Żeby nas podniósł z snu i przetarł oczy.
Bryzgiem krwi jasnej, co piersi nam broczy“.

Bujanie w obłokach metafizyki, wiara w cudowną opiekę opatrzności demoralizują, bo ułatwiają gnuśnienia woli i apatyę ducha.

„Niedoli kres gdzieś istnieć musi przecie,
Lecz z poza łez nie widać go na świecie...
Królestwo swe nie tym, co płaczą, jęczą,
Bóg oddać chce z spokoju jasną tęczą,
Lecz tym, co śmią przygwałcić je ku ziemi,
Potęgą lwią i czyny ogromnemi.
Przyszłość to trud,
Nie zejdzie ona z nieba
Przez żaden cud,
Lecz zdobyć ją potrzeba,
I w służbę jej dać lata te zapału,
Co serca rwą w krainę ideału.
O dosyć już oglądać się na syny!
Im wieńce z róż, nam ciernie i wawrzyny.
Nam bój i śmierć,
W pielgrzymstwie pełnem trwogi,
Im błogi świt i jasne, ciche... drogi!“

Dlatego też poetka sądzi, że najcięższą karą i największem przekleństwem tak dla człowieka każdego, jak dla narodów jest brak woli. Jednostka, pozbawiona woli, naród, w którym nie tkwi siła życiowa, skazani są na zagładę. Wyobraża też sobie, że najsroższą karą, jaką ludy ponoszą w piekle, jest ta chwila, kiedy się stają „zastygłe i stare“, kiedy Bóg odbiera im „duszę życia — życia wolę“.

Jestto cechą wszystkich szlachetnych dusz, wynikającą zresztą z chrakteru ich duchowej istoty, że czują wstręt, odrazę do wszystkiego, co małe i pospolite. Potężne zamiary, wielkie dążenia, ich myśli, ich uczucia, a nawet ich błędy i namiętności mają w sobie zawsze coś wyższego, coś z bohaterstwa.

Ciasne koło drobnych potrzeb życiowych i płytki poziom pożądań duchowych ludzi przeciętnych, stanowią z nimi takie przeciwieństwo jak duszny dziedziniec turmy moskiewskiej, z swobodnym i niezmierzonym stapem Ukrainy. Więc jak pragnienie szczęcia jest wielkiem i nie dającem się mierzyć miarką codziennego życia — tak cierpienie, jeśli ma być, niech będzie strasznem i potężnem, ale niech nie będzie pospolitem: „Niech piję gorycz, lecz niech z morza piję!“

Konopnicka, jak mówiliśmy już na wstępie, ukochała gorąco swój naród. Pragnie dla niego szczęcia, swobody, i tego tajemniczego „świtu jutra“, o którym tak często wspomina i marzy. Wszędzie też, gdzie tylko sposobność się nadarza, zachęca do walki, do wytrwania, dodaje otuchy. W spółbraciach chciałaby widzieć samych — Tytanów, dla którychby żadna trudność nie była niezwyciężoną. Chciałaby widzieć ludzi spiżowych, o sercach z rozpalonego żelaza, „któreby pęknąć zdolne każdej chwili“.

Z drugiej strony jednak widzi potęgę wroga. Czuje jego bezmyślną, żywiołową siłę dzikiego zwierza, druzgocącą porywy słabych fizycznie olbrzymów — ducha. Codziennie patrzy na świeże przykłady zdemoralizowania najszlachetniejszych jednostek przez rząd carski, jest świadkiem, jak ten rząd krępuje i przeszkadza wszystkiemu, co chce rozluźnić ściskające obroże. Nie wszyscy zaś mają tyle hartu i zaparcia, by każdej chwili, na każdym kroku być gotowymi do walki. Bo taka ciągła, nieprzerwana walka, tocząca się o każdą drobnostkę, o każde tchnienie swobodne, wyczerpuje i największy zapas energii. Więc dla wszystkich, i dla tych, którzy walczyli, aż z wycieńczenia opadły im ręce, i dla tych, którzy nie mają siły walki rozpocząć, jedną wskazuje drogę, która krwi nie żąda:

„Za rękę wziąć chłopskie dziecię,
I poprowadzić je na ciche pola,
I ciepłem słowem przemówić o ziemi,
Którą uprawiać przypadła nam dola,
O jutrze, które wyorać nam trzeba,
Łzami i potem skrapiając te łany,
A potem w syna swojego ramiona,
Popchnąć to dziecię i rzec: wyście braćmi!

Mówiliśmy, że Konopnicka, jest bezwzględną zwolenniczką siły zapału. Ale te czynniki duchowe mogą być różne co do treści i napięcia. Dziecięcy entuzyazm jest też zapałem, a uczucie może być wzniosłem i szlachetnem, ale bez wielkich czynów. Takiego rodzaju płomyk duchowy jest dla niej niczem Tylko taki zapał ma znaczenie, który łączy miliony drobnych płomieni w jeden wielki ogień energii i czynu, w śmierć i pożogę rewolucyi.

Bo:

„I grom ten jest przeklęty, co bez śmierci bije,
Po którym nie drżą ludy i nie płoną lasy...
Uderza — przecież cała stara nędza żyje,
I w starej pleśni drzemią starych bezpraw czasy!“

Jeszcze jedną, znamienną stronę usposobienia Konopnickiej poznajemy w cyklu poezyi, zatytułowanym: „Żywym i Umarłym“. Brzmi tu żywotna struna nadziei, która jak iskra wśród popiołów świadczy o utajonym ogniu i rychłym jego wybuchu. Warunki obecne, otoczenie, brutalna rzeczywistość nasuwają zwątpienie — wrodzona energia, chęć życia i żądza walki i odwetu nie pozwala apatyi opanować ducha. A chociaż wszystko dokoła uspasabia do letargu, chociaż niedola i krzywdy wżarły się tak w duszę, że zbolałą pokrzepić nawet trudno nadzieją — poetka wierzy — wbrew nadziei...

Tę niezłomną wiarę w odrodzenie i przyszłość narodu wypowiada w ślicznym wierszu: *„Contra spem spero!“*

„W niezgasłe gwiazdy ufam wśród zawiei
Przeciw nadziei...
Wiem, odleciały te ptaki daleko,
Co nam na skrzydłach niosły chwały zorze,
I z rzek już naszych te wody nie cieką,
Które szły w morze...

. . . .

Idziem jak idą bezdomne przechodnie
Z zwiędłemi czoły...
A stopy naszej zasypuje ślady
Wicher zagłady...

. . . .

Przecież o zmierzchy skrzydłami bijąca,
Oczyma szukam dni blasków i słońca,
I w głębi mogił czuję życia dreszcze
I ufam jeszcze...

. . . .

Wierzę w wskrzeszenie popiołów i kości,
W jutrznię błękitów...
I w gwiazdę ludów wierzę wśród zawiei
Przeciw nadziei!“

Jednak i najdzielniejsze umysły mają swoje chwile słabości. Chwile takie przychodzą także na Konopnicką. Jej tak żywo zawsze bijące serce omdlewa niekiedy, gdy zbyt jasno widzi tryumf ohydy a zgnębienie prawdy. Wówczas opadają skrzydła młodzieńczego zapału a miejsce ich zajmuje melancholia i bezsilność. Takie wyczerpanie energii duchowej uderza szczególnie w cyklu „Pieśni nocy“.

Oczywiście w smutku jej daremnieby kto szukał owej sztucznej boleści, owego drapowania się na zimno w rozpacz lub niemoc. Konopnicka, jeżeli mówi o smutku, to on jest szczerym, prawdziwym wyrazem stanu jej duszy, jest wynikiem tych cierpień niezasłużonych i tych katuszy bez winy, na które poetka patrzy codziennie.

Ale i im nawet nie ulega bezwzględnie. Ona pragnie tylko chwilowej ulgi, by od czasu do czasu można zamknąć oczy i nie patrzeć... zapomnieć...

„Za jedno Ciebie błogosławię Panie!
Za mrok, co więźniom zakrywa kajdany,
Za sen nędzarza o braterstwa chlebie,
Za zapomnienie błogosławię Ciebie!
Na krzywdy nasze, na bój i konanie
Dosyć nam patrzeć przez dzień cały Panie,
Więc za tych zmierzchów litosną zasłonę,
Za noc i ciemność błogosławię Ciebie,
Za oddech ziemi swobodny choć w nocy,
Za sen o szczęściu błogosławię Tobie!
O błogosławię za chwilę wytchnienia,
Za te pół śmierci, za te pół — istnienia,
W których nie czuję, że żyję...“

Nastrój taki jak w powyższym wierszu nie powtarza się u Konopnickiej często Tęsknota za swobodą, pragnienie szczęścia dla Polski są tak silne, że nawet w takich chwilach rozterki duchowej potrafi

umysł zachować w równowadze i nie pogrążyć się zupełnie w mglistej pomroce zobojętnienia. I dlatego nawet te utwory, w których taki upadek ducha jest widoczny, kończy poetka albo silnym protestem, albo przynajmniej taką nadzieją, jaką widzimy w wierszu „Contra spem spero“. A nadzieja ta tem pewniejsza i tem mocniej pozwala wierzyć, ponieważ gwiazda, która jej przyświeca, to nie zwodniczy ognik unoszący się nad topielą litewskich jezior — ale żywy, a cierpiący lud.

Jeszcze na jedno warto zwrócić uwagę, gdyż szczegół ten właśnie sprawia to, że w poezyach Konopnickiej jest tak dużo pierwiastku narodowo-społecznego. Mianowicie zobaczmy, jak poetka pojmuje zadanie wieszcza w dzisiejszych warunkach społeczeństwa polskiego. Dzisiaj poeci nie powinni narzucać własnej niemocy i niedołęstwa ducha narodowi, bo one i tak są w nim. Nie powinni go karmić własnemi cierpieniami — które może niekiedy uzasadnione — najczęściej jednak są wynikiem chorobliwego nastroju duszy i zamiast podnosić zatruwają serca. Gdzie tyle niedoli i łez, gdzie tyle krzywd czeka na zemstę — tam zbrodnią jest roztkliwiać się nad własną niemocą.

„Cóż, że śpiewa ktoś sobie,
Jakiejś mglistej żałobie,
Jakiejś dawnej nadziei, miłości...
Pieśń się taka nie przetrze
Przez szerokie powietrze
Do krwi ludu, do kości!“

Nam potrzeba innej pieśni, nie tej „słowiczej, majowej“, bo, „wiosna i kwiaty istnieją dla szczęśliwych“. Nam trzeba pieśni „grzmiącej, chorągwianej“, któraby porwała do czynu.

Widzieliśmy, jak Konopnicka odczuwa polityczne krzywdy narodu. W następnym numerze zobaczymy, że nie mniej gorąco odczuwa niesprawiedliwość społeczną.

S. O.

Bezsenna noc.

Ogniem rewolucyjnym żarzy się me serce, pali me oko. A świat zgrzybiały, zgnilizną stoczony moralną, wstrętem mnie do głębi duszy przepełnia i z piersi mych groźny wyrywa się okrzyk:

„W piekło ruń spruchniały gmachu, ohydo świata!

„W roztocze niebios wzbij się, wymarzony świecie przyszłości, na tarczach zórz, rozpostrzej swe śnieżyste skrzydła, czoło swe wyniosłe w dyamentowe uwieńcz gwiazdy!...

A gdy mych uszu doleci głos milionów, co nigdy nie zaznały jasnych dni słonecznych, co wzgardę i upodlenie, męki lub śmierć nawet dostawały w zamian za trudy i znoje, gdy hasło tych zrozpaczonych mas: „Dajcie żyć i być wolnym“! po całej ziemi rozbrzmiewa, gdy jęk skatowanych ofiar „Ojczyzny!!“ zatarga niebiosa — wtedy krew wszystka wre i kipi w żyłach, a źrenica złowrogiem zemsty zabłyśnie pragnieniem!

Gdy natomiast głupia, naiwna pokusa przynęcić mnie się stara błyskiem i dźwiękiem metalu, gdy mnie zwabić usiłuje banalnym przepychem strojnych salonów i hucznych balów lub kształtnemi lalkami nazwę dziewic lub kobiet noszącemi, kiedy mi roztacza obrazy rozkosznie-głupiej rozpusty, gdy mię chce związać szarfami zaszczytów i sławy, gdy mnie straszy w razie oporu widziadłami nędzy głodowej, więzienia, prześladowań, gdy mi grozi wzgardą świata, utratą przyjemności i niezliczonemi cierpieniami — wówczas ma dusza śmiechem szyderstwa, jako promiennym rycerza puklerzem, precz tę pokusę odtrąca i woła z dumą:

„Za małoduszne, za podłe to dla mnie być wężem w prochu i złocie się czołgającym; nie dobrześ trafiła.

I rośnie mój duch potęgą idei.

Bo droga mego życia nie przez nędzę, ucisk i ciemnotę ludu wytyczona: serce me płomienieje żądzą walki o wolność i lud; i w tejże chwili staje mi przed oczyma wyobraźni upragniony obraz walki: widzę w nim siebie na barykadach stojącego, roztrącam i druzgocę ciemne tłumy wrogów, a w końcu konam, jak święty męczennik idei, w obronie prawdy. Bom ideę tą ukochał nad życie.

. . . .

Lecz oto właśnie jest noc. Leżę w łóżku i usnąć nie mogę, choć już późna godzina.

Blade światło księżycowego sierpa natrętnie w oczy mi zagląda. Wstaję, spuszczam story, kładę się napowrót przytykając oczy do poduszki — darmo! powi ki się nie kleją, myśli i wspomnienia mącą ciszę i spokój duszy, grają na wyobraźni...

Jakaś dziwna, nieokreślona tęsknota, nie wiedzieć zresztą za czem i dla czego, zaczyna mnie ogarniać.

Wstaję znowu, podnoszę storę i, siadłszy przy oknie, patrzę błędnym marzącym wzrokiem w srebrne światło miesiąca.

Tęsknota ma i uczucie smętnej, cichej, a zarazem błogiej melancholii potęgują się. Wpatruję się w księżyc, długo głęboko i tonę cały we wspomnieniach.

Z okolicy, w mroki mgły spowitej, wyłaniają się powoli cicho, z początku w grubych, zatartych, szarych zarysach, potem coraz wyraźniejsze kształty chatki, uroczej wsi i owych ponętnych mazowieckich pól, wśród których przeżyłem tak mile, tak szczęśliwie me dziecinne lata.

Ledwie dosłyszalnymi, nieśmiałymi dźwięki rosnąc jednak stopniowo odzywają mi się w duszy jedna po drugiej, rzewne melodye nieśmiertelnego Szopena, i słyszę w nich cichy, poważny szum lasów i potoków szmery i czuję wonie rozległych łąk zielonych, wsłuchuję się w granie wichru, rozglądam po falistych polach zbożami obsianych...

A to wszystko zlewa się w tęskną, smętną harmonię dźwięków, woni i obrazów; z lubością wchłania ją ma dusza.

Wśród tego, z nocnych oparów wysnuwa się tajemniczo, cichutko, wiotka, powietrzna postać — tak! widzę ją coraz lepiej, coraz dokładniej wpatruję się w jej rysy — to ona!

Boże! Złociste te, tak mi dobrze znane kędziory spadają jej na ramiona, upajam się ich wonią, — modre oczy z niewypowiedzianą rozkoszą toną w mych iskrzących, węglowych źrenicach.

— Bliżej, bliżej — szepczę — do mnie, Najdroższa.

I wyciągam ręce ku wyśnionej postaci, a ona dąży ku mnie. Nie żyję już tu, na ziemi, ale gdzieś daleko w wymarzonych rozkosznych zaświatach, w krainie wspomnień, sam jestem już tylko wspomnieniem.

A Luba moja obejmuje mnie pierścieniem swych ramion za szyję, zawisa mi na ustach gorącym pocałunkiem i w tej jednej sekundzie przeżywam wszystkie błogie, pamiętne szczęściem chwile mego życia.

O! bo też to były szczęśliwe chwile, jakich rzadko kto z ludzi doznaje, chwile, spowite cudną wonią róż, jaśniejące błogością zielonych gajów, urocze jak perliste dźwięki nocnego słowika... Jak niegdyś, tuli mi Zosia kochana swą główkę przecudną do mych piersi, jak dawniej szepczą mi jej usta koralowe rajską muzyką: Luby, mój luby... Oczy nasze splatają się w nierozerwalnym uścisku, przesłonięte łzami nadziemskiego szczęścia...

I znów dźwięczą mi w duszy ciche, smętne akordy szopenowskich melodyj. Jakżeż ona ślicznie, jak wzruszająco, z uczuciem grała tego Szopena! Gdybym choć raz jeszcze w życiu mógł usłyszeć choć jednę aryę nieśmiertelnego mistrza, jej palcami ze strun cytry strąconą, oddałbym wszystko za tę chwilę rozkoszy! Mówiliśmy sobie wówczas oboje i obiecywali iść na przebój nędzy, prześladowaniom i z młodzieńczym ogniem ślubowaliśmy sobie być szermierzami świętej idei wolności, równości i braterstwa. Zapał nasz dla niej potęgował się wzajemnie, rósł, urągaliśmy wszelkim zaporom, jakieby nas mogły od pracy nad szczęściem ludu powstrzymać!

Nagle — pierś ma wzbiera bezmiernym żalem, do oczu ciśnie się cały potok łez i obfitą, gorącą strugą spływa mi po licu.

Bo oto widzę ją teraz, jak jadem gruźlicy przeżarta leży w ciasnej, wilgotnej izdebce, chłonąc w swe chore płuca stęchłe, zaraźliwe powietrze, i przerywając nierówny, przyśpieszony oddech głębokim suchym kaszlem, rozdzierającym mi serce.

Biegnę po lekarza, który, widząc mą rozpacz, miłosierdziem ogarnięty, przy-

chodzi do chorej z wizytą (grosza nie miałem bowiem w kieszeni). Daremnie! Stan już beznadziejny.

Odgadła, co mi lekarz o jej chorobie powiedział, choć żywo zaprzeczałem. Gdy wyszedł, rzekła smutnie, cicho, łagodnie nadzwyczaj, jakby się lękała mnie tem urazić:

— Luby mój, chodź bliżej, pożegnajmy się — na zawsze!...

Ostatnie słowo wymówiła pół szeptem, z trudnością powstrzymując łkanie, wydzierające się jej z piersi.

Myślałem, że mi z żalu serce pęknie!

Rzuciłem się ku łożu i sparłszy me czoło na jego krawędzi, wybuchnąłem rozpaczliwym płaczem. I płakałem długo w nieutulonem łkaniu, jak płaczą biedne, samotne brzozy nad mogiłami męczenników Sybiru, targane okrutnym wichrem północnym śnieżystych równin...

A ona łkała cicho i rzewnie, jako łka cichy strumyczek w żalu za opuszczonym zielonym gajem...

Spojrzałem znów na nią: przestała już płakać, tylko jej oczy iskrzyły się niezwykłym, nadludzkiem prawie blaskiem.

— Luby mój! pamiętaj, że nas dwoje zespolił prócz miłości jeszcze inny silniejszy od niej węzeł — idea! Pamiętaj o tem i wspomnij me słowa, gdy będziesz jak ja... na łożu śmierci. Żegnaj!

Słowa te wyszeptała cicho, spokojnie, a uroczyście.

Zerwałem się, całowałem jej usta, wynędzniałą twarz, blade, wyniosłe czoło i wychudłe jej ręce, cały we łzach tonąc. Nie mogła już nic mówić, uśmiechała się tylko błogo a smętnie. Potem przysięgałem jej służyć jak pies świętej idei uciśnionych, potem... potem już dobrze nie pamiętam, co się ze mną działo...

W nocy umarła.

W duszy mej obraz jej i postać, cały charakter splotły wraz z ideą, jaka ją przejmowała i którą ja ukochałem nadewszystko. Stała się dla mnie od tego czasu jej wcieleniem, uzewnętrznieniem. I dlatego pozostanie moja Najdroższa na zawsze świętą w mej pamięci...

. . . .

A gdy mię ogarnie ta daleka, smętna, niezgłębiona toń tęsknoty, wówczas chwytam za pióro i przelewam na papier me uczucia i wspomnienia.

I lżej mi się robi wtedy na sercu i duszy...

. . . .

. . . .

Na niebie świtać poczyna; z pomiędzy poszarpanych chmur na wschodzie, wygląda coraz śmielej, coraz jaskrawiej, różowo-czerwony brzask.

Wzrok mój, przykuty dotyczas do bladej tarczy księżyca, zwraca się w tę stronę. Nagle w blasku, nie wiem, świtu czy księżyca zabłysnął bagnet pędzącego cwałem na koniu carskiego żandarma.

I znów w mem sercu zawrzała całą siłą rewolucyjna krew.

Warszawa wyłaniała się właśnie z rannej mgły mroków.

Niepewność organizacyi *).

Pewnego razu znalazłem się w liczniejszem cokolwiek gronie czytelników „Promienia“. Omawiano treść artykułów, wyrażano sympatyę względem kierunku ogólnego, krytykowano, że się „Promień“ zbyt mało sprawami młodzieży zaboru rosyjskiego zajmuje. Wreszcie zastanawiano się nad niepowodzeniami r. 1863 i skończono rozmową na temat organizacyi.

„Wadą naszą narodową — mówiono — jest brak karności, sprężystości, posłuszeństwa. „Promień“ jest wyrazem najidealniejszych pragnień i porywów najwybitniejszych jednostek naszej młodzieży, marzącej o działalności dla społeczeństwa w imię podniosłych haseł. Wszędzie, gdzie dosięga „Promień“ — a nawet do wielu zapadłych kątów on doszedł — tworzą się grupy i kółka i wnet pomiędzy kolegami dotąd rozproszonymi, nawiązuje się nić wspólnej przyjaźni, silnie ich wiążąca. Wyłania się chęć jakaś bezosobista zrezygnowania ze swych ambicyi, egoizmów, „poddania się jednemu kierunkowi w imię ogólnego dobra“. Gdyby redaktorowie ze-

*) Artykuł ten, nadesłany z zab. ros., umieszczamy jako podnietę do pożądanej w tej sprawie dyskusyi. *(Red.)*

chcieli, wkrótce by kraj cały pokrył się siecią kółek, a każde oczko tej sieci byłoby małem centrum, małem ogniskiem promieni światła, ciepła, życia i ruchu — na całą sferę otaczającą, na cały mały światek. Co miesiąc, lub co kwartał, otrzymywalibyśmy ładunek pisma, opłacalibyśmy podatki. zamieszczali sprawozdnnia z działalności kółka w N. lub X., odbywałyby się czasem zjazdy, a raz na rok zjeżdżaliby delegaci Redakcyi dla odbycia lustracyi, że się tak wyrażę, rewii generalnej. Byłoby posłuszeństwo, karność, praca, każdy członek przed wstąpieniem do organizacyi musiałby dać odpowiedź na pewne pytania, każdy działałby podług pewnego, z góry oznaczonego planu, słowem byłaby to rzecz wyśmienita, byłyby kółka specyalne"...

Tu jeden ze starszych, już pod wąsem kolegów, podniósł się, aby jednym logicznym zwrotem obrócić w niwecz całą fantazyę młodszego towarzysza: „Byłyby stopnie wyższe i niższe — ciągnął — byłyby nagrody i kary, byliby starsi i młodsi, naczelnicy i podwładni, poskromienia i bunty, ambicye osobiste, współubieganie się, spory, kłótnie i waśnie! Mnóstwo czasu szłoby na urządzenie i podtrzymywanie całego mechanizmu organizacyi, małpującej biurokracyę, tę zmorę społeczeństw dzisiejszych! Organizacya zogniskowana w jednym punkcie, działająca jak mechanizm zegarkowy, łatwo może być zniszczona. Nie, koledzy! to absurd! Nie chodzi nam o wytworzenie kadrów wojskowych... Nie! to niepotrzebne. siła „Promienia" w jego myśli, w jego ideach zawarta, niech myśl, idea wolnie krąży, budzi ferment, podnieca. Szablonów nie potrzebujemy, mamy nadto. Nie chodzi nam przecie o wydzielenie się ze społeczeństwa w odrębną partyę czy kastę, ale odwrotnie, o spojenie się z niem w całość organiczną. o odczuwanie najgłębszych jego drgnień. Nie zaleca przecie „Promień", aby każdy zajmował się tem tylko, co u c z n i a obchodzić powinno, lecz przeciwnie, żąda, by myśli wybiegły poza ciasny okręg codziennych potrzeb i zadań — aby to wszystko nas obchodziło, co powinno obchodzić c z ł o w i e k a! Organizacya jest niezbędną o tyle, o ile bez niej obejść się nie może kolportowanie „Promienia", ale poza tem byłaby więzami, nałożonymi na serca i umysły, które właśnie chcemy wyzwolić z pęt ciasnej rutyny gimnazyalnej.

Jan Motor.

Rozporządzenie ministra oświaty

w sprawie katalogów gimnazyalnych.

Z czasów gimnazyalnych zostało mi — między innemi — jedno wspomnienie, kiedy to jako uczeń celujący dostałem raz — dwójkę. Fakt ten w klasie nawet zrobił wrażenie, a ja wprost byłem przygnieciony ciężarem nieszczęścia. Zły na siebie i na cały świat t. j. profesorów, winę przypisywałem urządzeniu jakichś katalogów, dzienników, dwójek i t. p. i wyobrażałem sobie, że w przyszłości tych wszystkich formalności z pewnością nie będzie. I wzniósłszy się wyobraźnią ponad dzisiejszy ten niski i ciasny świat gimnazyalny, starałem się dociec, jak kiedyś w przyszłości gimnazyum będzie wyglądało. I myślałem sobie, że nie będzie tam ani dwójek, ani katalogów, ani dzienników, ani konferencyi, że lekcye będą raczej miały charakter swobodnej pogadanki między profesorem a uczniami, że myśl ucznia niekrępowana będzie się mogła swobodnie objawić, nie potrzebując stosować się do stopni zapisywanych w katalogu, że śmiałość zapatrywań nie będzie budziła podejrzeń, że młodzież nie będzie myślała tak, jak władza chce lub życzy sobie, ale będzie już z natury radykalniejszą w swych poglądach, otwarcie i swobodnie będzie mogła patrzeć społeczeństwu w oczy, gdy spadną z niej okowy ciasnej formalistyki...

* * *

Że te rojenia zawierały ziarno prawdy, że pedanterya pedagogiczna zbyt daleko się posuwa, obejmując w paragrafy, to co się w nie ująć nie da[1]), tego dowodzi najnowsze rozporządzenie ministeryalne w sprawie katalogów.

---

[1]) Jeden z paragrafów przepisów gimnazyalnych brzmi jak następuje: §. 1. Dusza ucznia powinna być czysta i nieskalana i t. d. Sapienti sat!

Oddawna już krążyły między uczniami przeróżne wieści o tem rozporządzeniu, które cały świat studencki żywo zajmowało. Jedni mówili, że odtąd mają być zniesione dwójki, inni, że profesor będzie miał prawo dać uczniowi złą notę na świadectwie, chociażby ten miał wszystkie klasy w katalogu dobre, słowem przeróżne opowiadano sobie plotki, które naturalnie się nie sprawdziły, a dowodziły tylko, że kwestya ta obchodziła bardzo wszystkich studentów.

Rozporządzenie ministra wyznań i oświaty z d. 1. maja 1899, z którego istotną treść wyjmuję, jest następujące: „Doszło do mojej wiadomości, że przy używaniu katalogów klasowych okazały się w niektórych szkołach średnich niedomagania, które wymagają naprawy. W szczególności nie zawsze daje się przeprowadzić żądanie, aby wynik ustnych egzaminów zapisywany był dzień po dniu". „Podawanie do wiadmości rodziców lub ich zastępców wszystkich not, zapisywanych do katalogu klasowego, wywołało u publiczności mniemanie, jakoby przy końcu półrocza należało ocenić dojrzałość i postęp ucznia za pomocą czysto mechanicznego obliczenia noty przeciętnej i jakoby wyłączną podstawą obliczenia tego były cenzury, zapisane do katalogu. To zniewala mnie upoważnić c. k. Radę szkolną krajową do poczynienia stosownych zarządzeń w tych zakładach". „W szczególności można w razie potrzeby odstąpić od żądania, aby zapisywano do katalogu klasowego wszelki wynik egzaminów ustnych natychmiast każdego dnia. Zaleca się jednak, aby każdy nauczyciel wydał z końcem każdego okresu konferencyjnego ogólny sąd o postępie ucznia i wpisał go do katalogu. Ocenę tę należy podać do wiadomości rodziców lub ich za. stępców na ich życzenie lub też z urzędu". „Natomiast nie należy na przyszłość dawać publiczności przystępu do katalogów klasowych, tam gdzieby się ten zwyczaj był utarł".

Oto jaka jest główna treść tego rozporządzenia ministeryalnego. Co do mnie, to nie zadawala mnie ono zupełnie; nie jestem bowiem zwolennikiem środków połowicznych, wolałbym reformę radykalniejszą, a bardziej konsekwentną. Są tu bowiem dwie ewentualności: albo wychodzi się z założenia, że z jednej strony zdolność i ogólny postęp ucznia nie da się w każdym poszczególnym wypadku t. j. podczas każdej lekcyi wyrazić i wystarczająco określić przez klasy zapisywane w katalogu, z drugiej zaś strony zachowanie się i wogóle temperament i usposobienie ucznia także nie dają się podciągnąć pod formułki figurujące w dziennikach i katalogach, a w takim razie powinno się znieść cały ten niepotrzebny i źle funkcyonujący aparat; albo przyjmuje się, że nie ma innej lepszej oceny inteligencyi ucznia jak stopnie „celują y, bardzo dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny", że nie ma innej lepszej oceny obyczajów i temperamentu ucznia jak stopnie: „chwalebne, dobre, dość dobre, naganne, złe", a w takim razie trzeba zatrzymać te stopnie i odpowiadającą im klasyfikacyę w całej rozciągłości, stosować je do wszelkich wypadków. W tym ostatnim razie mniemanie publiczności, o którem mówi rozporządzenie, a które głównie jest nie mniemaniem publiczności, ale każdego przeciętnego ucznia gimnazyalnego, jest zupełnie uprawnione[2]).

Bądź co bądź jednak, rozporządzenie takie, jakie ono jest, stanowi mały krok naprzód w usunięciu pedanteryi szkolnej. Każdemu wprawdzie zdrowo myślącemu człowiekowi, który stoi zdala od świata gimnazyalnego, wyda się cała ta kwestya katalogów klasowych bardzo podrzędnego znaczenia, ale kto poznał bliżej gimnazyum, ten miał sposobność się przekonać, że jest to kwestya pierwszorzędnej wagi. Bo co wypełnia całą próżnię życia gimnazyalnego? Nic innego właśnie jak to nieustanne dążenie, aby nie dostać dwójki, a otrzymać „pierwszą", przez ośm lat stara się biedny uczeń, kierując swą wązką łódkę między Scyllą a Charybdą, wszelkiemi siłami trzymać się jednego brzegu, aby go prąd nie uniósł przypad-

[2]) Utarło się rzeczywiście u ogółu studentów mniemanie, że nauczyciel wydaje sąd o zdolności ucznia w taki sposób, iż sumuje wszystkie noty zapisane w katalogu, a otrzymaną sumę dzieli przez ilość tych not. Najlepszy dowód, do czego prowadzi formalistyka szkolna!

kiem na drugi brzeg. A kiedy wreszcie koniec ma uwieńczyć dzieło, kiedy zawinie do portu t. j. kiedy zda maturę, jakże czuje się szczęśliwym, że uszedł szponów strasznego potworu, że nie będzie już miał w życiu z gimnazyum nic do czynienia. Zadania, jakie sobie szkoły średnie za cel położyły, a dążenia ogółu młodzieży gimnazyalnej rozchodzą się pod tym względem wprost w przeciwnych kierunkach. Celem gimnazyum jest dać swoim wychowankom ogólne wykształcenie, ideałem studenta przeciętnego jest przedostać się z jednej klasy do drugiej i zdać maturę; ideałem wychowania klasycznego jest zapoznać ucznia ze światem starożytnym, by się przejął zasadami etycznemi i estetycznemi Hellenów lub Rzymian, ideałem studenta jest mieć tak dobrego „prozajkera", aby potrafił przetłómaczyć gładko przed profesorem ustęp grecki lub łaciński i dostać dobrą notę w katalogu; ideałem profesora jest mieć jak najwięcej zdolnych uczniów, aby módz się chlubić wychowaną przez siebie młodzieżą, ideałem studenta przeciętnego jest zręcznie podejść profesora odpisać zadanie od drugiego ucznia, lub wykręcić się przed dwójką: ideałem szkoły jest wykształcenie szlachetnego charakteru, a ideałem studenta jest jak najwięcej „hec" urządzić podczas lekcyi, aby profesor nie zobaczył... A po czyjej stronie większa wina? Sprawiedliwość każe powiedzieć, że po stronie ucznia, wszak wstępuje on do gimnazyum z naiwną, dziecięcą niemal ufnością, a nieraz z gorącym zapałem, a czemu wychodzi zeń tak często bezmyślny i głupi albo i zgorzkniały?

Wiele się na to przyczyn złożyło, jedną z nich jest z pewnością owe ślepe trzymanie się formalności szkolnych. Nie będę już mówił o tem, że student nie po to się uczy, aby coś umiał, ale aby dostał dobrą notę, bo o tem każdy wie, ale czyż można nie widzieć, jak zabójczo taka pedanterya działa, w jak ciasnych zamyka granicach sferę myślową ucznia, jak tłumi w nim młodzieńczą wolność i naturalną, wrodzoną mu swobodę. Tem sobie tłómaczyć można, dlaczego wielu gimnazyalistów nie jest zadowolonych z ostatniego rozporządzenia ministra. Powiadają oni, że podaje ich ono w jeszcze większą zależność od profesora i władzy, że przedtem przynajmniej sąd zwierzchności gimnazyalnej o uczniu, — choćby był stronniczy zresztą, musiał się przecież stosować do not zapisanych w katalogu, a teraz, skoro nic, nawet te noty jej nie wiążą, to cóż jej wzbroni, być najzupełniej dowolną? Odwykli oni widzieć w profesorze swego wychowawcę i opiekuna, a widzą człowieka, który z za katedry argusowem okiem śledzi ich ruchy, odwykli udawać się do niego z ufnością i przywiązaniem, a wyobrażają go sobie tylko, jak nahajką nagania ich do pracy...

Przeważna część studentów niezadowolona jest nadto z rozporządzenia powyższego i z tej także przyczyny, że przywykła klasyfikować wszystko według formułek zapisywanych w katalogu, nie może wprost pojąć, że zdolność, talent, inteligencya, że charakter, usposobienie i temperament, to pojęcia zbyt złożone, zbyt wiele różnorodnych czynników wpływa na nie, aby dały się przez stopnie „bardzo dobry, dobry, dostateczny" i t. d. dokładnie wyrazić. Z takich to wychodzi później młodzież biurokratyczna, o tak wąskim i ograniczonym horyzoncie myślowym, że żadna idea społeczna choćby trochę sprzeciwiająca się ustalonemu porządkowi nietylko nie znajduje u niej przystępu, ale wprost budzi strach, a często wstręt. Za to obowiązki zawodu swojego — bardzo zresztą nieliczne i nikłe, — spełniają oni regularnie i skrupulatnie, wiedzą bowiem, że praca ta na ich osobistą korzyść, a nie na korzyść społeczeństwa wychodzi. Już w gimnazyum można takiego osobnika poznać odrazu, choćby po tem, jak wielką wagę przywiązuje do formalności, jak ideały jego nie wychodzą poza sferę „celujących" i „bardzo dobrych". Warto także widzieć, jakto oni się zachowują, kiedy profesor zostawi katalog przez zapomnienie w klasię — co się zresztą bardzo rzadko zdarza, bo zwykle z tą relikwią gimnazyalną obchodzi się z nadzwyczajną ostrożnością, trzyma się ją pod kluczykiem i t. d. — z jaką chciwością rzucają się oni na-

nią, jakby tam były zawarte skarby bajeczne.

Hamlet powiedział, że są rzeczy na ziemi i na niebie, o których się filozofom nawet nie śniło. Oby się jakiś drugi Hamlet znalazł, któryby gimnazyalistów przekonał, że po za dwójką i pierwszą jest jeszcze wiele rzeczy, że nie wszystko da się mierzyć na stopnie i noty, że zapał, że miłość dla ideału, że szlachetny poryw warte są więcej niż dziesięć celujących i bardzo dobrych stopni. Niechby ich przekonał, „że lepsza w kwietniu jedna chwilka, niż w jesieni całe grudnie"; że szlachetne bezosobiste zaparcie dla ideału, warte jest więcej niż świadectwo, zapisane celującemi notami od góry do dołu. Niechby ich przekonał, że nie wystarcza dostawać „pierwsze" i przechodzić z klasy do klasy, że na tem nie kończy się zadanie gimnazyalisty, aby zdać maturę, bo to wszystko są cele egoistyczne, że czekają go jeszcze liczne inne obowiązki społeczne, do których nie egoizmu potrzeba ani skrupulatnej i pedantycznej pilności, — ale szlachetnego i pełnego poświęceń altruizmu społecznego. Czy się znajdzie taki, coby ich o tem przekonał? Miejmy nadzieję.

Sperans.

Bibliografia.

Z. Doliwa. Szkice historyczno-społeczne. Zurych 1898. Skład główny: Towarzystwo Młodzieży Polskiej w Zurychu, Phönix zur Platte. (Str. 278.)

Szkice te stanowią pierwszy tom wydawnictwa „Zjednoczenia Towarzystw Młodzieży polskiej za granicą" (tom drugi, o ile wiemy, zawierać będzie „Historyę demokracyi polskiej" B. Limanowskiego). Zebrano tu pięć rozpraw, drukowanych w różnych czasopismach z r. 1885—90, a połączonych wspólnością tematu. Wszystkie bowiem dotyczą kwestyi rolnej, która dziś tak zaprząta uwagę ekonomistów i prawodawców, a zwłaszcza u nas, w kraju przeważnie rolniczym, niezmiernie jest ważną. Doliwa daje nam w swej książce zarówno przesłanki teoretyczne, jak i dane historyczne oraz materyał liczbowy, rzucając w ten sposób na stosunki rolne w Polsce obfite światło. Nasze piśmiennictwo socyologiczne jest, niestety bardzo ubogie; tem większą zasługę ma „Zjednoczenie", wydając „Szkice" Doliwy.

Książka rozpoczyna się pracą „O rencie gruntowej". Autor streszcza tu i rozpatruje krytycznie najważniejsze teorye, dotyczące pochodzenia i znaczenia społecznego „renty gruntowej", to jest czystego dochodu z ziemi. Szkic ten ma charakter ściśle teoretyczny i tylko dla tych jest przystępny, którzy z zasadami ekonomii politycznej już nieco są obznajomieni. Zaznaczymy tylko wniosek praktyczny, wysnuty przez autora z teoretycznych przesłanek: „Renta, która jest rezultatem społecznej pracy, musi należeć do całego społeczeństwa. Powiadamy m u s i, bo zbliża się chwila, w której ostatnie słowo historycznego postępu w czyn się zamieni" (str. 101). P. Doliwa jest więc, jak widzimy, zwolennikiem „unarodowienia" czy „uspołecznienia" ziemi, to jest domaga się, by ziemia, ta podstawa bytu naszego, nie służyła jednostkom za źródło niezasłużonych zysków, lecz była eksploatowana ku pożytkowi całego społeczeństwa.

Bardzo ciekawy jest szkic „O poddaństwie w Polsce", oświetlający jaskrawo tę pierwszorzędnej wagi stronę naszej przeszłości dziejowej. Historyę włościaństwa polskiego p. Doliwa dzieli na trzy okresy: 1) od świtu dziejowego do XI w., 2) od XI w. okres prawno-politycznego kształtowania się kasty szlacheckiej, wreszcie 3) od początku XVI w. aż do rozbiorów okres wszechwładzy szlacheckiej. Wszyscy badacze zgadzają się na to, że w zaraniu dziejów naszych panującym typem własności ziemskiej była własność wspólna, gminna. Ziemię uprawną dzielono co pewien czas między wszystkie rodziny, do gminy należące; ziemia więc ta n a l e ż a ł a do gminy, u ż y t k o w a n i e zaś z niej było indywidualno-rodzinne. Natomiast lasy, pastwiska, łąki, wody rybne stanowiły n i e p o d z i e l n ą własność gminy. Tego rodzaju forma własności istniała u wszystkich ludów w pierwocinach ich historyi, a dziś zachowały się jeszcze w różnych krajach liczne ślady zamierzchłej tej przeszłości. Z czasem jednak p i e r w o t n y ów k o m u n i z m ustąpić musiał miejsca nowym formom gospodarki, opartym na własności prywatnej i nierówności ekonomicznej. Wzrost ludności wymagał staranniejszej uprawy roli, co wykluczało periodyczny podział gruntów: rozwój rzemiosła oraz wymiany produktów powiększał zasób bogactw, wytworzonych pracą osobistą; tworzy się klasa, panująca, która, sprawując w narodzie rządy, korzystała ze swojej przewagi, aby się zbogacić.

Za pierwszych Bolesławów widzimy, jak powoli wytwarza się ta nowa siła: dwa stany składają się na nią: duchowieństwo i rycerstwo. W zamian za usługi swoje duchowni i szlachta otrzymują ziemię, która przechodzi na ich własność osobistą; kmiecie, na ziemi osiadli, muszą im składać daninę; są oni jednak po większej części osobiście wolni, a i robocizna na rzecz panów jest niezbyt wielka. Uzależnienie włościaństwa rozwija się w dwóch kierunkach: chłop traci coraz bardziej wolność osobistą, staje się glebae adscriptus (przywiązanym do gleby), z drugiej zaś strony coraz więcej krwawej pracy musi oddawać panom, których posiadłości rosną niepomiernie. Początek prawnemu przytwierdzeniu chłopa do gleby dał statut Wiślicki (r. 1368), który orzeka, że „kmiecie lub mieszkańcy jednej wsi nie mogą w liczbie większej nad jednego lub dwóch przesiedlić się do drugiej bez woli pana wsi, którą zamieszkują“, z wyjątkiem trzech wypadków, kiedy wszyscy nawet mieszkańcy mogą wieś opuścić. Od tego czasu położenie włościan coraz bardziej się pogarsza, natomiast szlachta zyskuje coraz nowe i coraz większe przywileje. Na zjeździe w Koszycach w 1374 r. szlachta otrzymuje przywilej, który ją uwalnia od wszelkich dotychczasowych danin i powinności, z wyjątkiem opłaty corocznej dwóch groszy z łanu. Pamiętne statuty Jana Olbrachta z r. 1496 ostatecznie przytwierdzają ogół włościański do gleby; orzekają bowiem, iż z synów chłopa tylko jednemu wolno udawać się na naukę, i to za pozwoleniem pana; synowi jedynakowi bezwarunkowo zabraniają opuszczania wsi; zamykają kmieciom dostęp do urzędów kościelnych. Podobnież cały szereg ustaw rozciąga nad chłopem juryzdykcyę pańską. Jednocześnie rosną niesłychanie powinności pańszczyźniane: rozwija się gospodarstwo folwarczne, wytwarzanie zboża na sprzedaż, wywóz płodów rolnych do Europy zachodniej; a wraz z tem potęguje się apetyt uprzywilejowanych na ziemię i na nadającą tej ziemi wartość pracę chłopską. Majątki pańskie powiększają się, chłopskie drobnieją. „W początku XVI w. przeciętna wielkość posiadłości chłopskiej wynosi 15—30 morgów, majątków zaś dworskich 60 do 120 lub 180 morgów. W przeciągu XVI w. stosunek ten zmienił się tak ogromnie, że szlachta, która w XV w. posiadała drobną cząstkę z uprawnych pól, w końcu XVI w. włada obszarami, wynoszącymi przeciętnie 300—600 morgów i ustala się taki stosunek, że w danym majątku np. wszyscy kmiecie posiadają tylko „nieco większą połowę roli ornej, niżeli dwór szlachecki“ (prof. ... ński). Z biegiem czasu wytworzyły się latifundya, olbrzymie posiadłości panów „królewiąt“, którzy uzyskali też niezmierną potęgę polityczną. Odpowiednio wzrastała pańszczyzna. „Już w 1530 r. podniesiono ją do 2-óch dni na tydzień z łanu; 1549 r. do 3-ech, w 1580 r. do 6 dni!... W 1603 r. dochodziła ona do 24 dni z łanu na tydzień, a w 1618 do 32 dni.... W w. XVIII wynosi przeciętnie 96 dni na tydzień od łanu“ (str. 168). Były to istne „saturnalie robotowania“, jak się wyraził jeden z pisarzów naszych XVIII w. Położenie było tem gorsze, że nie było u nas warstwy średniej, wolnego stanu mieszczańskiego, któryby służyć mógł za przeciwwagę uroszczeniom szlacheckim. Miasta, zaludnione przeważnie żywiołem obcym, nie miały znaczenia politycznego; od XVI w. upada szybko ich siła ekonomiczna, do czego znacznie przyczyniła się polityka gospodarcza szlachty. Tak np. prawo z r. 1565 zabroniło kupcom krajowym wywozu i przywozu towarów zagranicznych i sprowadziło ich tym sposobem, jak powiada Kalinka, „do znaczenia domowych kramarzy“; prawa z r. 1620 i 1643 ustanawiają ceny na towary zagraniczne i krajowe, powierzając oznaczenie cen tych wojewodom i t. d. Ciosem niemałym było też oddanie gospodarki miejskiej w ręce starostów. „W w. XVII[1] spadł na miasteczka królewskie, powiada Kalinka, gorszy od Szweda, nieprzyjaciel domowy: był nim starosta wraz z nieodłącznym żydem“. Szlachta panowała tedy niepodzielnie, aż do upadku kraj doprowadziła. „Wychylając kielich goryczy aż do dna za zbrodnie szlachty, kraj słyszał słowa prawdy historycznej: „Upadek Rzeczypospolitej będzie karą za ucisk chłopa“. W tych słowach Staszyca tkwi zagadka naszego bytu“ (str. 195). Tak Doliwa kończy swoją rozprawę „o Poddaństwie w Polsce“.

A jakie jest obecne położenie naszego włościaństwa, w ustroju gospodarczym, opartym na wolnej pracy? Przedewszystkiem widzimy bardzo liczny proletryat włościański, rolników bez roli. Już w r. 1873 Rapacki podawał cyfrę jego w Galicyi na 75% ludności rolnej. W Poznańskiem ilość proletaryatu całkiem bezrolnego, wraz z ilością bardzo drobnych posiadaczy (4-5 morgów ziemi) wynosi rówież około 75% ludności włościańskiej. W Królestwie w chwili uwłaszczenia w r. 1864 proletaryat bezrolny wynosił 30% ogółu rolników, w r. 1887 już 40%, od tego czasu napewno znacznie się powiększył. W Królestwie już w r, 1873 70% osad włościańskich nie może, wskutek niedostatecznej ilości ziemi, zabezpieczyć minimum utrzymania rodziny. Drobna własność drobnieje coraz bardziej, staje się własnością karło-

watą. Chłop wikła się coraz bardziej w sieci długów lichwiarskich; p. Bloch w swej książce o „Ziemi i jej odłużeniu“ zaznacza, że lichwiarze ściągają z włościan procenty „do 730% na rok nieraz dochodzące“. Niemniej skuteczną działalność w tym kierunku rozwijają „filantropijne“ instytucye w rodzaju osławionego ś. p. Zakładu kredytowego włościańskiego we Lwowie, który wywłaszczył swego czasu bardzo znaczną ilość rodzin chłopskich. Wobec tego morza nędzy wszelkie środki i środeczki w rodzaju parcelacyi, taniego kredytu, kółek włościańskich itd. są albo całkiem nieskuteczne, albo mają tylko znaczenie paliatyw. Jedyny radykalny sposób rozstrzygnięcia kwestyi to — unarodowienie ziemi. Ale nie można rozstrzygnąć tej kwestyi bez ogólnej zmiany ustroju gospodarczego, aby zaś ta zmiana nastąpiła, klasa pracująca musi uzbroić się w oręż świadomości i organizacyi. W Polsce zaś kwestya społeczna, której częścią jest kwestya rolna, wiąże się jaknajściślej z kwestyą narodową. Lud nasz wszedł już na tę drogę rozwoju, która zapewnić mu musi zwycięstwo. A zwycięstwo to będzie rozwiązaniem „kwestyi społecznej i narodowej zarazem“ (str. 122).

Idea przewodnia powstań polskich. Nakładem St. Kowalskiego, w Krakowie 1900. —

Pod tym napisem ukazała się niewielka broszurka, wygłoszona jako odczyt w Zakopanem w rocznicę powstania listopadowego. Autor, ukrywający się pod literami J. Z. stara się w sposób jasny i przystępny wykazać, że sympatyę, które nasze powstania znajdowały u innych ludów, budziło hasło wywieszone na sztandarach rewolucyi 31 r.: „Za naszą i waszą wolność“. Główną zaś przyczyną niepowodzeń naszych powstań było odstępstwo od zasady rewolucyjnej. Wszędzie zaś tam, gdzie w imię tej zasady poruszano n. p. ważny czynnik społeczny — sprawa polska szła naprzód. Ale mimo to, że nasze powstania upadały, podjęta raz myśl postępu rozwijała się, i krystalizowała. Coraz dłuższe zaś okresy międzyrewolucyjne nie są świadectwem wyczerpania energii w narodzie lub zanikiem ducha rewolucyjnego, ale wskazują to, że nowa myśl, która ożywi naszą walkę w przyszłości i da jej zwycięstwo, jeszcze się dostatecznie nie rozwinęła, nie wniknęła w umysły wszystkich. Z chwilą, gdy to nastąpi: „Nowy duch powieje nad narodem.... wtedy wstanie śpiący Lud-Olbrzym i z popiołów dawnych Polski stanowej i szlacheckiej, Polski mieszczańskiej i indywidualistycznej, zmartwychstanie wielka, niezwyciężona, wolna — Polska społeczna“.

Szkoła polska w Batignolles.

Zapewne wielu z naszych czytelników obce są bliższe szczegóły o tej polskiej instytucyi na obczyźnie. Dzisiaj, gdy instytucya ta z rozmaitych powodów mija się z swojem zadaniem a nawet grozi jej upadek, podnoszą się głosy, ażeby społeczeństwo zajęło się losem tej szkoły. Sądzimy, że młodzież, którą ta sprawa specyalnie obchodzi, powinna się także wypowiedzieć. Dla zoryentowania się lepszego podajemy kilka szczegółów z historyi i rozwoju szkoły.

Incyatywa wyszła z łona emigracyi polskiej po r. 1831 w Paryżu, gdzie też w r. 1841 zawiązało się Towarzystwo noszące nazwę: „Towarzystwo wychowania narodowego dzieci wychodźców polskich.“ W skład jego wchodzili tacy ludzie jak generał Dwernicki, Biernacki i inni. Miało ono na celu stworzenie ogniska narodowego wychowania na obczyźnie i uratowania przez to dla polskości tej garstki młodzieży, która bądź z rodzicami-emigrantami znalazła się na obcej ziemi, bądź tam, zdala od Polski miała ujrzeć światło dzienne.

Pierwszym, znaczniejszym darem na rzecz nowej instytucyi, była suma 50.000 zł. polskich, ofiarowana przez Ledóchowskiego, jednego z członków Towarzystwa, zakładającego szkołę. Później, obfite datki z kraju i na emigracyi umożliwiły otworzenie szkoły. W październiku roku 1842 otworzono ją w pensyonacie francuskim niejakiego Chapusoe. Miała ona początkowo jeden roczny kurs i liczyła 18 uczniów. Wykładano tam historyę i geografię Polski, religię tudzież uczono poprawnie pisać i czytać po polsku.

Rozwój i zainteresowanie się szkołą pozwoliły rozszerzyć jej zakres, pomnożyć liczbę uczniów i profesorów, między którymi byli tacy, jak Ludwik Mierosławski.

Szkoła rozwijała się pomyślnie a w miarę jej rozwoju szlachetne intencye założycieli urzeczywistniły się praktycznie. Tylko

ze strony „niedoszłego króla polskiego" ks. Czartoryskiego i jego przyjaciół, którzy czuli się obrażeni pominięciem w komitecie zajmującym się otworzeniem szkoły, zwalczano instytucyę w imię... osobistej ambicyi.

Wiele do pomyślnego rozwoju szkoły i kształcenia w niej młodzieży w duchu narodowym przyczynił się Hipolit Klimaszewski, były profesor gimnazyum wileńskiego. On to zaopatrzył ją w obszerną bibliotekę i jako dyrektor wiele bardzo czasu poświęcił na bezinteresowną naukę literatury i języka polskiego. W r. 1845 przeniesiono ją na Batignolles do większego lokalu i wypracowano nowy program naukowy, umożliwiający po ukończeniu szkoły polskiej korzystanie z wyższych zakładów naukowych francuskich.

Nie długo jednak trwał ten stan. Po ustąpieniu dyrektora Klimaszewskiego, którego usunięto za pomocą intryg, zarząd i kierunek moralny szkoły dostał się w ręce ludzi nieodpowiednich, którzy wkrótce zmienili zasadniczy charakter szkoły i przekształcili ją niemal na zakład francuski, tem tylko odróżniający się, że przyjmował bezpłatnie i wychowywał nie rodowitych francuzów, ale polaków, którzy opuszczając go nie przypominali już niczem swego pochodzenia. Język francuski zajął dominujące stanowisko i cała szkoła przesiąknięta była duchem francuskim. Broszura p. n. „Szkoła Batignolska w Paryżu", Chropieńskiego, (Lwów 1898), z której głównie zaczerpnęliśmy tych wiadomości — jako głównego sprawcę takiego stanu rzeczy oskarża nie żyjącego już dr. Seweryna Gałęzowskiego, który przez dłuższy czas był głównym i jedynym zarządcą i opiekunem szkoły na Batignolles.

Obecny stan szkoły batignolskiej jest jeszcze smutniejszy. Zarząd spoczywa w rękach pp. Ksawerego Gałęzowskiego, Gasztowtta i innych, a upadek tak jest widoczny, że szkoła liczy zaledwie 34 wychowanków, (r. 1898) z których jedna trzecia uczęszcza do liceów francuskich.

Wobec tego nasuwa się pytanie co zrobić z t. zw. polską szkołą na Batignolles? Nie chcemy wchodzić, czy dzisiejszy upadek szkoły jest skutkiem złej woli ludzi. opiekujących się nią, czy też wynikiem niepomyślnych warunków. Faktem jest, że szkoła ta widocznie pozbawiona wszelkiej żywotności, nie jest zdolna należycie się rozwijać, aby mogła przynieść prawdziwą korzyść dla polskości na emigracyi. Dowodem tego zarówno skromna liczba uczniów jak i moralne upodlenie kierowników, którzy wychowankom dzień przyjazdu Cara do Paryża każą obchodzić uroczyście.

Nie można się jednak zgodzić na to, ażeby na wypadek zamknięcia szkoły, fundusze jej rozpłynęły się w kieszeniach powołanych i niepowołanych „patryotycznych" jej opiekunów. A majątek ten przedstawia się jak następuje (cyfry wypisujemy ze wspomnianej broszurki p. Chropieńskiego): fundusz żelazny szkoły wynosi 300.000 franków, biblioteka składająca się z 22.000 tomów, prócz tego zabudowania szkolne wartości kilkuset tysięcy franków i wiele zapisów stypendyalnych.

Wiadomo wszystkim, że Polska od lat kilkunastu obok emigracyi inteligencyi ma emigracyę chłopską. Lud polski z pod trzech zaborów, całemi setkami płynie za ocean i tam osiedla się szczególnie w ostatnich czasach w Ameryce południowej, w brazylijskim stanie Parana. Wiadomo również, w jakich warunkach zmuszeni są żyć i rozwijać się w znacznej części ciemni i biedni wychodźcy wśród obcego otoczenia. Nędza i zupełne wynarodowienie są nieuniknionem następstwem takich warunków. Jedynym zaś ratunkiem może być tylko wpływ moralny inteligentnych jednostek i oświata. Polska szkoła w Batignolles, skazana obecnie w Paryżu na zagładę — przeniesiona do Parany może się odrodzić, nosiąc światło i naukę w tysiące ludu polskiego. Zdaniem naszem, takie rozstrzygnięcie kwestyi szkoły batignolskiej jest jedynie racyonalne i w obecnych stosunkach nie możnaby pomyślniej rozporządzić funduszami przeznaczonymi na cele wychowania za granicami Polski.

Myśl tę nie my pierwsi poruszamy. Inna broszura, zajmująca się kwestyą szkoły polskiej w Paryżu p. t. „Szkoła polska na Batignolles" (na podstawie ćwierć wiekowego sprawozdania 1899 r.) p. Z. Osiu, rzuca ten sam projekt. My się do niego

przyłączamy, popierając gorąco tę myśl i sądzimy, że ci, w których mocy leży, dokonają w tym duchu reformy szkoły batignolskiej.

Przyszłość tysięcy ludu naszego powinna społeczeństwu więcej leżeć na sercu, niż ambicye kilku sfrancuziałych „emigrantów“. *Junior.*

Kronika.

Franciszek Smolka. Młodość miał „górną i chmurną“: spiskował przeciwko najazdowi w „Stowarzyszeniu Ludu Polskiego“, za co odpokutował 4-letniem więzieniem, był nawet na śmierć skazany, lecz „ułaskawiony“. Gdy zawitał r. 1848. „wiosna ludów“ — zbyt zawodna, niestety — ze spiskowca przedzierzgnął się w statystę. Przewodniczył pierwszemu parlamentowi austryackiemu, broniąc liberalizmu i konstytucyi przeciwko wstecznikom i kamaryli dworskiej. Nie był jednak rewolucyonistą w pełnem znaczeniu tego wyrazu: grzeszył niewłaściwem zwłaszcza w rewolucyjnej dobie umiarkowaniem. Nie dopuścił wniosku posła Sierakowskiego, by zdetronizować Habsburgów i wydalić ich z Austryi. Zasłaniał, choć bezskutecznie, przed zemstą rozjuszonego ludu wiedeńskiego ministra wojna Latoura. Z zapanowaniem kontrrewolucyi usunął się z widowni publicznej, na którą wrócił w brzasku nowej ery konstytucyjnej. Na stanowisku przewodniczącego parlamentu i członka „Koła polskiego“, dla demokratyzmu bardzo niewiele chyba zdziałał, liberalizm jego pozbył się wszelkich śladów barwy czerwonej. Ale Smolka nie przestał nigdy być działaczem czystym i niepposzlakowanym, ożywionym podniosłemi uczuciami. Zaszczytów nie szukał — karyerowiczem nie był. Zasługuje na uznanie zwłaszcza to, że żadne namowy ani groźby nie zdołały go skłonić do wypowiedzenia w parlamencie mowy „pogrzebowej“ po śmierci Aleksandra II. Patryotyzm jego był szczery i gorący. Cześć pamięci szlachetnego człowieka!

Sprawa Kaspra Wojnara. W maju przeszłego roku żandarmerya rosyjska aresztowała w Lublinie znanego wydawcę dziełek ludowych i redaktora „Polaka“, Kaspra Wojnara. Od tego czasu Wojnar przebywa w murach cytadeli warszawskiej, w więzieniu śledczem. Oczywiście jest to gwałt i bezprawie: bo Wojnar jest obywatelem austryackim, a książki, które przy nim znaleziono tylko w barbarzyńskiej Rosyi piętnuje się jako „nielegalne“. Gdyby za coś podobnego aresztowano obywatela angielskiego lub amerykańskiego, to całe społeczeństwo zatrzęsłoby się oburzeniem. Sprawa nabrałaby wielkiego rozgłosu podniesiono by ją natychmiast w parlamencie, a rząd nie omieszkałby się upomnieć o swego poddanego. W Austryi jest inaczej... Co tu kogo obchodzi, że moskal trzyma w łapach jakiegoś polaka-demokratę, hołysza, który powstał z „pyłu przydrożnego“?! Sterownicy naszej nawy społecznej w Galicyi są na takie rzeczy bardzo obojętni. Nieraz już tego dali dowody: czy „Koło polskie“ upomniało się o obywateli austryackich: Wł. Szleyena, dr. Moslera, Jarosława Rozwodę, dręczonych przez żandarmów moskiewskich? czy protestowało, gdy policya tutejsza wydała „braci z-za kordonu“ Kasyusza? W sprawie Kaspra Wojnara „Koło“ okazało się bardzo lekkomyślnem i opieszałem; niby to robiono jakieś „starania“, ale nie wstąpiono na jedynie właściwą drogę, nie poruszono sprawy w parlamencie i delegacyach. A przecież mamy „ministrów-rodaków“, ministrem spraw zagranicznych, do którego sprawa ta przedewszystkiem należy, jest polak.. Przecież „mamy wpływy w Wiedniu...“

Losem Kaspra Wojnara zajęła się młodzież akademicka we Lwowie i Krakowie. 15-go grudnia przeszłego roku odbył się w sprawie tej wiec młodzieży akademickiej lwowskiej. Licznemu zebraniu akademików, polaków i rusinów, przewodniczył kol. Michał Wyrostek, prezes „Zjednoczenia“. W dyskusyi, w której liczni mowcy głos zabierali, padały ostre słowa nagany przeciwko „Kołu polskiemu“ za jego ślamazarną, „pantoflową“, jak się wyraził jeden z kolegów, politykę w tej sprawie. Rezolucyę, wzywającą posłów polskich i ruskich do poczyniania kroków energicznych celem wyzwolenia Wojnara, przyjęto jednogłośnie.

„Ochronki“ warszawskie. Wyżły carskie wszędzie wytropią „intrygę polską“! Żadna instytucya nasza, choćby najniewinniejsza, choćby najzupełniej wolna od wszelkiego zabarwienia politycznego, nie ujdzie ich czujnej uwagi. Wszędzie dopatrują się „ducha buntowniczego“ i rzucają się na niego z mongolską drapieżnością. W ostatnich latach jednym z przedmiotów pościgu stało się warszawskie Towarzystwo Dobroczynności. Ze wstrętem zaznaczyć trzeba, że rolę dobrowolnych szpiclów przy tej nagance odegrały dwa polskie

pisma, okropnie nabożne i katolickie: „Rola“ i „Przegląd Katolicki“. One to zadenuncyowały policyi, że w czytelniach bezpłatnych, utrzymywanych przez Towarzystwo Dobroczynności, rozdaje się książki „bezbożne“ i „przewrotowe“. Denuncyacya była całkiem fałszywa, ale dała władzom moskiewskim pożądaną sposobność do rozciągnięcia nad czytelniami bardzo troskliwej opieki. Wszystkie lepsze książki z czytelni tych usunięto, między innemi wszystkie dzieła z zakresu historyi polskiej i ekonomii politycznej.

Obecnie kolej przyszła na ochronki dla biednych dzieci, przez Towarzystwo utrzymywane. Wytropiono w nich rzeczy straszne: oto znaleziono tam „wbrew prawu“ dzieci, mające przeszło 7 lat, i — o zgrozo! — książeczki polskie... Te straszne przestępstwa wymagały należytej kary: więc natychmiast ks. Imeretinskij usunął ze stanowiska prezesa Towarzystwa, prof. Brodowskiego i zarządzającego ochronkami p. Jurkiewicza. Obaj ci panowie są najzupełniej lojalnymi obywatelami, ale nawet lojalizm w Rosyi nie wystarcza: aby być miłym sercu żandarmskiemu, należy mieć jeszcze wszelkie kwalifikacye na — łajdaka i szuję. W związku, jak się zdaje, z tą sprawą są liczne aresztowania, poczynione świeżo wśród inteligencyi warszawskiej. Aresztowano na „chybił-trafił“. Ale „jeżeli to szaleństwo, to jest w niem pewien system“, jak mówi Szekspir. Chodzi o osiągnięcie kilku celów naraz: żandarmi chcą zaspokoić świerzbiączkę, która im daje nakaz kategoryczny „łapania i niepuszczania“, — rząd cały chce zgnębić wszelkie, choćby w najmniejszym stopniu niezależne instytucye polskie. — a przytem .. przytem... toruje się drogę rządowemu piśmidłu „Oświata“. Rząd moskiewski bowiem będzie wydawał ten — z przeproszeniem — „organ“, by nieść ludowi polskiemu propagandę carską. Więc precz z jakiemiś czytelniami polskiemi, z jakiemiś ochronkami itp. Polskie pisemko ludowe „Zorza“ już dawniej zgnębiono...

Nauczyciele języka polskiego w szkołach średnich Królestwa otrzymują najniższą pensyę bo wszystkiego 600 rs. rocznie. Nawet nauczyciele języka francuskiego i niemieckiego, — przedmiotów w wykładzie gimnazyalnym bardzo podrzędnych, — otrzymują 900 rs.

Zjazd młodzieży. W końcu grudnia r. ub. odbył się w Zurychu doroczny zjazd Zjednoczenia zagranicznych Towarzystw Młodzieży Polskiej. Sprawozdanie ze zjazdu umieścimy w następnym numerze.

„Młodość“. Czasopismo akademickie „Młodość“ zamieniło się obecnie w czasopismo „artystyczno-literackie“. Nowa „Młodość“ „nie jest pismem społecznem, jak dotąd“, oznajmia Redakcya A program nowego pisma? Bardzo prosty „Szczerość myśli i uczucia“ — oto wszystko. Nasuwają nam się z powodu 1-go Nru przeobrażonej „Młodości“ różne smutne refleksye. Dawna „Młodość“ hołdowała postępowym przekonaniom społecznym — żałować trzeba, że polska młodzież akademicka nie była w stanie utrzymać swego pisma, które, pomimo licznych wad, przyczyniło się do ożywienia myśli i do zatęchłej atmosfery galicyjskiej wnosiło strugę świeżego powietrza. A teraz Neo —„Młodość“ oświadcza z lekkiem sercem, że wyzbywa się pierwiastku społecznego, jakgdyby to był balast bezużyteczny, coś zupełnie pospolitego i małoważnego. Panowie ci usuwają się od gwaru świata, na którym rozgrywają się wielkie boje o światło, o wolność, o chleb — zamykają oczy na tragedyę bytu narodowego — zatulają uszy na jęki i hasła mas ludowych. Co im społeczeństwo? Co im Hekuba? Oni wolą szybować w przestworach, kędy na mistycznych łąkach rosną pierwotne paprocie, — nurzać się w praile i włóczyć po synagogach szatana. Bardzo to piękne — ale poco się w takim razie nazywać młodym, kiedy się jest tylko zblazowanym?

Pierwiastek społeczny ubył — artyzmu wcale nie przybyło. Świadczy o tem „szkic“ p. Kazimierza Lewandowskiego „Dwie twarze“, który śmiało mógłby być umieszczony w piśmie humorystycznem jako — karykatura modernizmu. Jakieś niemowlęce bełkotanie, jakieś przykre jąkanie się, jakieś cedzenie wyrazów, jakgdyby p. L. targował się z czytelnikiem o każde słowo — oto styl tego utworu, do którego za motto posłużyćby mogła słynna „Ofelia-kamelia“. Posłuchajmy:

„Wyjazd do miasta.
Mija rok.
Następne wakacye.
Koń. Wycieczka. Ta sama chata. Panicz, ściągając lejce, do siebie.
— Zajrzę!
Lekki wyrzut sumienia“.

Itd. w tym tonie. I to się nazywa literaturą!

Wiersze p. Jerzego Żuławskiego i art. p. Z. Daszyńskiej o „Filozofii Anhellego“, umieszczone w tem czasopiśmie „artystyczno-literackiem“, zostały widocznie w spadku po dawnej „Młodości“.

Nowa „Młodość“ rychło zapewne pozbędzie się i tego rodzaju balastu.

Wieczorki Mickiewiczowskie. Dnia 2. grudnia 1899 odbył się wieczorek w gimn. III. w Krakowie. Punktem najznakomitszym programu była gra kol. Friedmana (kl. VIII.), który dał słuchaczom prawdziwą ucztę odegraniem kilku utworów Chopin'a. Słynny ten pianista był gorąco przez kolegów i grono nauczycielskie oklaskiwany. Kol. Woyczyński (kl. VIII.), utalentowany poeta, napisał wcale udatny i pod względem formy, jak i treści wiersz „ku czci A. Mickiewicza“, który oddeklamował kol. S. Odegrano dość gładko akt II. „Konfederatów Barskich“. Zakończyło wieczorek bardzo piękne i ciepłe przemówienie dyr. Sołtysika.

Dnia 9. grudnia odbył się wieczorek w gim. I. w Krakowie. Wyróżnił się szczególnie kol. Bandrowski (kl. VII.) grą na fortepianie. Wcale dobrze odegrał on aryę z opery „Straszny dwór“ Moniuszki. Chór i orkiestra spełniły zupełnie udatnie swe role. Prof. St. Kozłowski piękną, nacechowaną wielkimi myślami potryotycznemi, mową, zakończył ten wieczorek.

Dnia 16. grudnia odbyły się równocześnie 2 wieczorki: W podgórskiem gimnazyum i w gim. II. w Krakowie. Wieczorek w gimn. II. cudnie wypadł. Scena guseł ze śpiewem znanego już basisty kol. Zatheya (kl. VIII.) wypadła nadspodziewanie dobrze. Orkiestra i chór wypełniły program.

Dnia 7. grudnia młodzież gimnazyalna w Jarosławiu urządziła publiczny wieczorek ku czci A. Mickiewicza. Wieczorek zagaił jeden z uczni. Dalszą treść tego obchodu wypełniły, prócz dobrze wyćwiczonego śpiewu choralnego, solowego i deklamacyi, — także orkiestra, stworzona siłami samejże młodzieży i przedstawienie więziennej sceny z III. części „Dziadów“ i jednej sceny z „Pana Tadeusza“. Wieczorek zakończył się przemówieniem jednego z profesorów.

Młodzież wywiązała się ze swego zadania pod każdym względem doskonale. Za to też należy jej się uznanie, zwłaszcza że nieszczędziła trudów ni czasu, aby w jak najlepszy sposób zamanifestować swoje gorące uczucia względem tego, co czuł i cierpiał za miliony.

Wreszcie musimy zaznaczyć, że o ile zachowanie się dyrektora gimnazyum rzeszowskiego w podobnej uroczystości było co najmniej śmiesznem, o tyle dyrektor gimnazyum w Jarosławiu p. Wójcik zachował się sympatycznie względem młodzieży, gdyż — pomijamy już to, że w uciążliwem położeniu finansowem sam ją wspomagał—w niczem nie krępował jej samodzielności. Wreszcie z przyjemnością podnosimy ten szczegół, że wieczorek był publiczny.

Nie jest to rzeczą małej wagi. Bo wobec dzisiejszych stosunków, gdzie młodzież jest murem chińskim odgraniczona od wszystkiego, co ma tylko styczność z życiem publicznem, tem więcej zasługuje na uwagę fakt, że p. Wójcik należy do tych nielicznych wyjątków między kierownikami młodzieży, którzy nie bronią jej objawiać swe uczucia wobec szerszej publiczności.

Pokwitowanie.

Z zaboru rosyjskiego przysłano 12 zł. 70 ct.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Kol. D. Prosimy o dokończenie art. o „Internatach“.

Kol. El-Strisz. Rzecz zbyt małej wagi dla ogółu czytelników.

Kol. Ips. Art. o Ibsenie jeszcze nie rozpatrzyliśmy.

Kol. S. P. J. Rzecz należałoby opracować gruntowniej.

Kol. Atomowi. Odpowiedzieliśmy listownie. Współpracownictwo kolegi jest bardzo pożądane.

Prosimy kolegów o korespondencye.

Wydawca: **Władysław Wolski** Odpow. redaktor: **Aleksander Wielężyński**

Z Drukarni Udziałowej, Lwów, Lindego 8.